

INSUREKCJA KTÓRA NADCHODZI

Niewidzialny Komitet

Przełożyły Nieczytelne

Spis treści

Książeczka, która wreszcie nadeszła	5
<i>Jak by nie spojrzeć...</i>	25
Krag pierwszy: J a	33
Krag drugi: S z k o ł a	40
Krag trzeci: P r a c a	48
Krag czwarty: M e t r o p o l i a	59
Krag piąty: E k o n o m i a	70
Krag szósty: Ś r o d o w i s k o	79
Krag siódmy: C y w i l i z a c j a	91
W DROGĘ!	101
ODNALEŹĆ SIĘ.	103
ZORGANIZOWAĆ SIĘ	110
INSUREKCJA	126
Przypisy	147

Książeczka, która wreszcie nadeszła

Insurekcja, która nadchodzi to książka niezaprzeczalnie profetyczna. Ukazała się w 2007 roku, zaraz przed wybuchem Globalnego Kryzysu Finansowego i nową falą protestów, zamieszek i rewolucji. Najpierw były trzymiesięczne greckie zamieszki bezpośrednio wywołane policyjnym zabójstwem Alexa Grigoropoulou, które autorzy nawet skomentowali w późniejszej edycji książki. Później Arabska Wiosna, która objęła ogromną część świata arabskiego, a rozpoczęta została w 2010 roku w Tunezji, przez samospalenie dokonane przez sprzedawcę ulicznego Mohameda Bouaziziego w sprzeciwie wobec nękania go przez władze. Ona z kolei przyczyniła się do ruchu Occupy i szerszego „ruchu placów”. I ta fala powstań wcale nie osłabła, tylko kulminowała w 2019 roku, kiedy protestujący przeciwko prawu o ekstradycji w Hong Kongu dostarczyli powstańczych technik całemu światu, i w 2021, gdy większość Stanów Zjednoczonych objęło powstanie po śmierci George’a Floyda. Oczywiście jest to tylko pewien zarys, a takich protopowstańczych, powstańczych, czy nawet rewolucyjnych ruchów nagromadziły się już setki, na całym świecie. I to często właśnie w ich genealogii się tę książkę

umieszcza, szczególnie, że wiele wątków rozpoczętych w tej książce – władza leżąca przede wszystkim w infrastrukturze, delokalizacja i dematerializacja produkcji, niezbędność blokad i zakłócania systemów, na których stoi dzisiejszy świat i wiele, wiele innych – faktycznie było podejmowanych przez późniejsze ruchy i powstania. Oczywiście, jakiej nadały one niektórym dość śmiałym wówczas tezom, które ta książka wysuwa, robi naprawdę niezłe wrażenie. (Paradoksalnie to może uczynić ją mniej ciekawą czy odkrywczą, gdy otworzy się ją teraz, aż można się wręcz zastanawiać, o co był ten cały hałas.) Całe to kontinuum miało być rzekomo zapowiedziane na stronach książeczki nie aż tak znanej w momencie publikacji – przynajmniej dopóki nie wypromował jej najpierw głośny proces antyterrorystyczny, w której służyła ona za koronny dowód, a później program Glenna Becka na Fox News, który przyczynił się do tego, że jej amerykańskie tłumaczenie stało się bestsellerem.

Proces antyterrorystyczny o którym mowa, to sprawa „9 z Tarnac”. Jak sama nazwa wskazuje, zatrzymanych wtedy zostało dziewięć osób mieszkających w komunie we francuskiej wiosce Tarnac, w której prowadzili też sklepik spożywczy. Oskarżono ich o sabotaż linii trakcyjnych pociągu wysokich prędkości oraz o napisanie *Insurekcji, która nadchodzi*, którą francuski rząd nazwał „instrukcją dla terrorystów”. Trudno się dziwić, że ten drugi zarzut przyciągnął najwięcej

uwagi. Książka ta służyła też za koronny dowód w całej sprawie, bo wielu innych prokuratura generalnie nie miała – o winie dziewiątki miało przesądzać głównie to, że w ich komunie policja znalazła... drabinę, *bolt cutters* czy rozkład jazdy pociągów. Podobieństwo pomiędzy propozycjami zawartymi w samym tekście a akcją, o przeprowadzenie której byli oskarżani, miało więc być tu główną przesłanką. Różni filozofowie i akademicy – w tym takie nazwiska jak Giorgio Agamben, Alain Badiou, Judith Butler, Jaques Rancière, Slavoj Žižek – wydali wtedy stanowiska potępiające areszty, a cała sprawa stała się bardzo medialna.

Jednak traktowanie tej książki jako pierwszego herolda nadchodzącej apokalipsy, a tym samym wyrywanie jej z pierwotnego kontekstu i dopasowanie do nowego kontinuum powstań, wypacza jej treść i przesłanie nie mniej, niż zrobiło to francuskie państwo. Choć może się na pierwszy rzut oka tak wydawać, to na głębszym poziomie zdecydowanie nie jest to książka profetyczna – to znaczy, dokładnie analizująca obecne warunki, zawarte w niej tendencje, stawiająca na kontynuację czy rozwój tych warunków i przepowiadająca tym samym jakieś wydarzenie, które je zniesie. Ma raczej nadzieję na przerwanie obecnego biegu wypadków i uwolnienie tego, co ten blokuje lub pamięć o czym stale bezczęści – osadza się więc nie w przyszłości, w kierunku której wskazuje, a w chwili obecnej, na której się skupia i w którą stara się zainterweniować.

Jeśli nie profetyczna, to jaka jest jednak konkretna metoda, przy użyciu której książka taka jak ta powstała (według najlepszych domysłów jej tłumaczy)? To pytanie ważne o tyle, że to ta metoda i jej stała użyteczność dzisiaj jest tym, co czyni *Insurekcję*... wartą tłumaczenia i czytania, prawie 20 lat po jej publikacji. Zanim jednak o tym, pomówmy chwilę o warunkach, w których książka ta została wydana, żeby zobaczyć, jakie konkretnie okoliczności autorzy starali się wyklarować.

„Terazniejszość to ślepa uliczka”

Insurekcja... wydana została w 2007 roku. Warunki, w których była pisana, były raczej niezachęcające.

Dopiero co, bo 11 września 2001 roku, miał miejsce atak na wieże World Trade Center, po którym nastąpiła fala imperialistycznych konfliktów i „antyterrorystycznych” środków. Już 7 października tego samego roku Stany Zjednoczone najechały Afganistan, a w 2003 roku – Irak. Ta „wojna z terroryzmem”, poza zbrojną agresją, polegała też na wprowadzeniu różnych ustaw „antyterrorystycznych”, normalizacji torturowania osób podejrzanych o terroryzm i rozwinięciu systemów inwigilacji i kontroli, między innymi na lotniskach, na których reżim paranoicznego nadzoru jest szczególnie widoczny. stosowane wobec niechcianych grup wewnątrz imperialnego centrum, jak np. Arabów

w Stanach. Jak za chwilę zobaczymy, podobnie było we Francji.

Okres ten charakteryzowało również wygłuszenie ruchów społecznych. W dokładnie tym samym roku co atak na WTC, miał miejsce szczytowy moment ruchu alterglobalizacyjnego: antyszczyt w Genui, podczas którego wybuchły masywne zamieszki, naznaczone policyjnym morderstwem Carlo Giulianiego i w sumie około pięciuset rannymi po obu stronach. Dwa lata wcześniej z kolei miała miejsce „Bitwa o Seattle”, inny niezwykle inspirujący przykład tego, jak silny stał się ten ruch. Padł on niestety ofiarą policyjnej kampanii, która nastąpiła po 9/11. Poza tym nastrój społeczny się zmienił, szczególnie w Stanach, które wpadły w islamofobiczny ferwor, co uniemożliwiło mobilizację antywojenną porównywalną chociażby do tej sprzeciwiającej się wojnie w Wietnamie. Z drugiej strony zachodni ruch antywojenny, inaczej niż alterglobalistyczny, w dużej mierze poszedł drogą pokojowego oporu i uległ samo-pacyfikacji oraz idącej za nią NGO-izacji. Nie tylko jednak w Stanach, a w większości miejsc na świecie był to moment stłumienia i szarżującej reakcji, która wykorzystwała dogodną okoliczność, by akumulować więcej zasobów na rozwijanie imperialnego centrum. Państwowe, kapitalistyczne i kolonialne siły zdawały się wszędzie konsolidować, czego mocnym przykładem jest stłumienie Drugiej Intifady, wybuchłej w 2000 roku i zakończonej w 2005, której skutki podłożyły

fundamenty pod Nakbę, którą obserwujemy teraz – bo to właśnie wtedy IDF wycofało się z Gazy, powołując się na „kwestię demograficzną”. Władze Izraela zaczęły wtedy konstrukcję muru na granicach Gazy, wzbogaconego o skomplikowany aparat nadzoru pełny wieżyczek i czujników, a w 2007 roku narzuciły całkowitą blokadę powietrzną, lądową i morską. Atmosfera więc, z całkowicie zrozumiałych powodów, była przytłaczająca i beznadziejna. Nic dziwnego, że już na początku Komitet pisze, że „teraźniejszość to ślepa uliczka”.

Można więc sobie wyobrazić, jaka była radość wrogów tego świata, gdy w tym samym roku, w którym kolonialne wojska izraelskie pacyfikowały opór Palestyńczyków, w jednym z najważniejszych krajów imperialnego centrum – Francji – wybuchły ogromne zamieszki. Ich bezpośrednim wyzwalaczem była śmierć dwóch nastolatków, 17-letniego Zyeda Benny’ego i 15-letniego Bouna Traoré, którzy uciekając przed policją, ukryli się w stacji elektroenergetycznej. Według oficjalnej wersji byli ścigani rzekomo dlatego, że próbowali włamać się na plac budowy. Jednak według opowieści ich trzeciego kolegi, który ukrywał się razem z nimi, ale przeżył porażenie prądem, wracali do domu z boiska i uciekali, bo chcieli uniknąć policyjnej łapanki i kontroli dokumentów, powszechnych w ich dzielnicy. Tłumy młodych mieszkańców Clichy-sous-Bois co noc walczyły z policją, podpalały radiowozy i komisariaty, jak i inne budynki i samochody, rozpętując ogólny

chaos i znacznie utrudniając państwu odzyskanie kontroli nad tym terytorium.

A terytorium, o którym mowa, po francusku szeroko znane jest jako *banlieus*, co bezpośrednio tłumaczy się na „przedmieścia”, choć lepszy trop podsuwa etymologia francuskiego terminu: „mila, na którą sięga władza”, wskazująca na zasięg – ale także i skraj – suwerenności dawnych panów. Są to bowiem zupełnie inne przedmieścia niż te, które możemy kojarzyć my, podobne do amerykańskich pustkowi usianych domkami jednorodzinnymi i będącymi miejscami zamieszkania zamożnych czy średnio-zamożnych rodzin. *Banlieus* raczej przypominają w dużej mierze to, co my znamy jako „blokowiska”: wielkie zespoły mieszkaniowe brutalistycznych bloków z wielkiej płyty, które cechuje również relatywna bieda w porównaniu do innych części metropolii. Zamieszkiwane są w znacznej części przez imigrantów lub potomków imigrantów, głównie z byłych francuskich kolonii w Afryce. Swoim charakterem przypominają getta – często bowiem właśnie z nich wyewoluowały, gdy między- i powojenny krajobraz blaszano-sklejkowej dzikiej zabudowy slumsowej z czasem zastąpiły komunalne bloki o obniżonym standardzie. Odizolowują one tę grupę od reszty mieszkańców Francji (czy nawet tego samego miasta, którego są nominalnie częścią) i są z związku z tym również celem wzmożonych działań policyjnych. *Banlieus* stanowią zwieńczenie długiej tradycji

francuskiej urbanistyki, której stawką – przynajmniej od czasów barona Haussmana i jego wielkiej przebudowy Paryża (oraz „wielkiego powrotu” biednych do miasta jakim był karnawał Komuny Paryskiej) – stało się wypchnięcie biednych ze śródmieścia, a docelowo w ogóle z przestrzeni społecznej widoczności. Jednak ich mieszkańcy nie dali o sobie na długo zapomnieć: już u progu lat 80. na blokowiskach zaczęły wybuchać i tlić się co jakiś czas gwałtowne zamieszki. Granica policyjnej suwerenności rzadko kiedy sięga tam aż do pełnej mili.

Choć francuskie przedmieścia wybuchały złością od dłuższego czasu, to zamieszki z 2005 roku były całkowicie bezprecedensowe co do skali i intensywności. Objęły nie tylko Clichy-sous-Bois czy przylegające do niej dzielnice, a praktycznie całą Francję (według niektórych źródeł, ponad 280 miast i miasteczek), a nawet w pewnym stopniu tereny poza granicami Francji, chociażby w Belgii. Nie były jednak tylko niezwykłą i nagłą eskalacją konfliktu społecznego, który wydawał się być zupełnie wyciszony czy ewentualnie utrzymany na poziomie niskiej intensywności. Były prawdziwym *wydarzeniem*, które rzuciło wyzwanie lewicowym intelektualistom i działaczom. Udowodniły, że potrzeba nowego myślenia o konflikcie społecznym, którego dotąd ewidentnie brakowało, skoro zamieszki te były dla wielu zaskoczeniem. I to wyzwanie podjął między innymi Niewidzialny Komitet w tej właśnie książce.

Na zamieszkach się jednak nie skończyło i później, aż do czasu pisania tej książki, konflikt na przedmieściach trwał, przechodząc tylko do mniejszej intensywności i zmniejszając się w skali. Nie tylko oznaczało to, że nadal dochodziło do ataków na komisariaty, podpalen czy wręcz zasadzek na policjantów na przedmieściach - ledwo dogasły pożary roku 2005, a już wiosną 2006 kolejną falę zamieszek, tym razem głównie w centrach miast, sprowokowała ustawa o akronimie CPE (*Contrat première embauche*, umowa na pierwsze zatrudnienie), orwellowsko nazywana przez rząd „ustawą o równości szans”. Pogłębiała ona prekaryzację młodzieży na rynku pracy przez deregulację jej praw pracowniczych i wprowadzenie specyficznych, śmieciowych warunków zatrudnienia. Flagowym punktem stała się możliwość natychmiastowego zwolnienia pracownika ze stażem poniżej dwóch lat bez podania przyczyny. Inne smaczki to m.in. możliwość zatrudniania osób od 14 roku życia, czy uzależnienie zasiłków rodziców od szkolnej frekwencji ich dzieci. Ustawa stanowiła desperacką próbę „zagospodarowania” młodych bezrobotnych w sposób, który zadowoliłby przedsiębiorców. Podczas gdy nad Wisłą rządy Kaczyńskiego i Tuska prześcigały się w deregulacji rynku pracy przy niemal powszechnym entuzjazmie, nad Sekwaną idea ta spotkała się z gwałtownym oporem: poza zamieszkami miejsce miały też okupacje w liceach i na uniwersytetach (z osiemdziesięciu dziewięciu istniejących,

sześćdziesiąt osiem było w tym czasie okupowanych, a w szczytowych momentach protestowało na raz półtora miliona osób). Ostatecznie próba zaprzęgnięcia młodych do kieratu śmieciowej pracy nie powiodła się – prezydent Chirac musiał ograniczyć jej założenia, a w końcu całkiem wycofać się z kontrowersyjnej ustawy. Strajki kolejnego roku miały pokazać jednak, że nie uspokoiło to wcale francuskiego świata pracy i bez-pracy.

Czarę goryczy natomiast przelało to, że we francuskich wyborach prezydenckich 2007 roku startował (i ostatecznie wygrał) Nicolas Sarkozy, który sprawował urząd Ministra Spraw Wewnętrznych w momencie wybuchu zamieszek w 2005 roku i był odpowiedzialny za ich brutalne stłumienie, a swojego nastawienia do młodzieży i innych mieszkańców przedmieść nie krył: nazywał ich motłochem i proponował wyczyszczenie przedmieść Karcherem. *Insurekcja...* jest więc przede wszystkim pisana jako interwencja w te wybory, w których niepokorna młodzież z przedmieść stała się koźłem ofiarnym.

Natomiast zamieszki 2005 roku nie są jedynym pęknięciem na fasadzie totalnej pacyfikacji - skutecznie rozbijały ją też inne nowe antagonistyczne ruchy społeczne. Jednym z nich, chyba najważniejszym nie tylko dla Komitetu, ale w ogóle, są rozruchy w Argentynie z 2001 roku, nazywane przez niektórych „naszą Komuną Paryską”. Dużą rolę odegrała w niej

piquete: strategia blokowania dróg, by wymusić zmiany polityczne – i co ważniejsze, podobnie jak w przypadku walki na przedmieściach, *piqueteros* pojawiali się też długo po tym wydarzeniu, co sugerowało pewną ciągłość form walki. Inspiracją są też walki w meksykańskim stanie Oaxaca z 2006 roku, który eksplodował po tym, jak policja ostrzelała pokojowy strajk nauczycieli, czy też powstanie w Kabylii, regionie Algierii, z 2001 roku, wywołane śmiercią studenta w policyjnym areście. Wszystkie te przykłady pokazywały, że pomimo zbrojnego imperialnego pokoju, coś się zaczynało poważnie tlić. We wszystkim tym Komitet zakreśla bardzo szerokie koło pewnej „inteligencji epoki”, która jest tak powszechna, że nie umyka ani anarchistom i zwykłym mieszkańcom Nowego Orleanu po tym, jak w 2005 roku spustoszył go huragan Katrina, ani ugrupowaniom pokroju Hezbollah czy nawet islamskim separatystom w południowej Tajlandii, nawet jeśli grupy te więcej różni, niż łączy. (Co jest szczególnie jaskrawe w przypadku dwóch ostatnich: pierwsza to pierwotnie przede wszystkim organizacja charytatywna, podczas gdy druga poza walką z siłami rządowymi dokonywała też morderstw na tle religijnym, etnicznym i innych zbrodni.)

W kwestii bezpośrednich inspiracji nie da się przecenić znaczenia ruchu alterglobalistycznego, jako najsilniejszego punktu odniesienia dla możliwości wytoczenia ofensywy kapitałowi. To on, ze swoimi wielkimi,

bojowymi demonstracjami dostarcza źródeł wielu preskrypcji strategicznych i taktycznych tego tekstu. To on dostarczył sieci międzynarodowych kontaktów, dzięki której można wyobrazić sobie cyrkulację pomiędzy komunami. I to on wytworzył wspólne doświadczenie walki, które może służyć za podstawę do dalszego rozwoju wspólnych analiz i strategii poradzenia sobie z globalnym wrogiem. Utrata tej buntowniczej sieci – i jej niewykształcenie przez późniejsze bojowe ruchy – jest jedną z największych strat dla ludzi, którzy dążą do zniesienia obecnego stanu rzeczy. Jeśli niektóre propozycje podawane w *Insurekcji...* mogą się wydać nierealistyczne, to udowadniają tym, jak bardzo od tamtego okresu zapadła się międzynarodowa rewolucyjna infrastruktura, pomimo znacznie bogatszego powstańczego doświadczenia. Tym samym może służyć nam za dobry miernik naszego obecnego położenia.

Brzytwa Trontiego

Jeśli już wiemy, na jakie warunki odpowiadał Komitet, to wróćmy do metody. Jeśli nie historycystyczna i profetyczna, to jaka jest realnie metoda analizy wydarzeń Niewidzialnego Komitetu? I jaką w związku z tym zajmują względem tych wydarzeń pozycję?

Zacznijmy od tego, że dla Komitetu walka jest niezbędnym punktem wyjścia, można nawet powiedzieć, źródłem myślenia. Czymś, co poprzedza jakąkolwiek

teorię. Czymś, co rozjaśnia tak samo strony konfliktu, jak i kategorie analizy. I to w związku z tą konkretną sytuacją walki może powstać jakakolwiek wiedza, a nie tylko „intelektualne zamroczenia”. Jest to podejście mocno kontrastujące z najgorszymi wybrykami lewicowej teorii, która ma w zwyczaju nadawanie znaczenia teorii, która niekoniecznie musi być powiązana z jakimikolwiek konkretnymi walkami, ale jednocześnie rości sobie prawo do mówienia im, jak naprawdę rzeczy się mają. Walka jest sama w sobie metodą wytwarzania wiedzy. Walka dostarcza też bodajże najważniejszego narzędzia selekcji, jakiego można użyć wobec wszelkiej teorii, być może najostrzejszą brzytwę, jaką można do niej przyłożyć: wybór źródeł według tego, co rezonuje z walką, jest z punktu widzenia niej istotne i ma szansę być dla niej użyteczne.

I widać to w strukturze tej książki: zamieszki z 2005, protesty przeciwko CPE, jak i kampania reakcji, jaką oba te wydarzenia spowodowały, są punktem ciężkości dla całego tego tekstu. To, że poruszane są tu na przykład kwestie kształtowania uległych, konsumentkich podmiotowości, uszkalniania i upupiania członków francuskiego „społeczeństwa” czy współczesnego charakteru pracy, nie jest jakimś przypadkiem czy zachcianką lewicowego intelektualisty. Ten zakres tematyczny jest bardzo wyraźnie zakreślony przez kontekst, w którym autorzy myśleli. I o ile fakt, że książka składa się z przepastnej ilości nawiązań do socjologii, filozofii

i literatury pięknej, trochę świadczy pewnie o autorach, to są one w służbie strategii i taktyki. Komitet uważnie odnotowuje rozwinięte przez nowe walczące podmioty metody walki i nie kłóci się z nimi, tylko stara się je jaśniej wyrazić, wspomóc, spotęgować i wskazać im drogę naprzód. Tak, by tłące się powstanie nie wypaliło się, tylko stanęło na swoich nogach, przetrwało i stało się czymś większym.

Selekcja jednak nie zawsze jest wystarczająca, bo często jeszcze trzeba „przysposobić” wybraną myśl do walki, by faktycznie stała się ona użyteczna. Większość teorii inherentnie użyteczna nie jest, jako że powstawała w warunkach względnego pokoju (lub przynajmniej nie została stworzona przez kogoś, kto myślał na potrzeby walki). Czasami trzeba ją rozłożyć na czynniki pierwsze i prowizorycznie skonstruować z niej coś, co będzie się nadawać – podobnie zresztą jak młotowa na zamieszki. Jest to zupełnie inny rodzaj obejścia się z teorią niż filozoficzna „wierność” wobec niej, w sensie dokładnej analizy, czy krytyka, która ma ją naświetlać. Autorzy podchodzą do swoich inspiracji teoretycznych raczej jak kieszonkowiec do jelenia – podkradając to tu, to tam wybrane pojęcia czy pomysły, bez szczególnego respektu dla całości dzieła czy doktryny. Strategię tę możemy kojarzyć z sytuacjonistami, którzy podnieśli ją do rangi sztuki „przechwytyjąc” [*détournement*] i obracając przeciwko sobie samym nie tylko fragmenty burżujskiego świata reklamy

czy pop-kultury (kładąc podwaliny pod współczesną kulturę remiksu czy memo-sferę), ale nawet kawałki lewicowej teorii. Jednak to nie sytuacioniści pierwsi upowszechnili ten numer – kto zna pisma młodego Karola Marksa, wie jak bardzo uwielbiał podkraść aforyzmy starszym kolegom i zasadą rebusów wykuwać z nich rewolucyjne hasła.

Poza sytuacionistami i Marksem, podobne podejście można znaleźć również u Agambena, w jego pojęciu profanacji, którą definiował w odniesieniu do prawa rzymskiego, jako przeciwieństwo poświęcania. To znaczy: o ile to drugie ogranicza użytek, czyni coś „własnością” danego bóstwa, czymś niedostępnym do „zwykłego” użytku – jak np. sprzedaż – to profanacja jest ruchem przeciwnym: udostępnia coś do zwykłego użytku. Profanować teoretyków oznacza tutaj: odzyskać i udostępnić do swobodnego, powszechnego użytku to, co filozoficznie uświęcone czy też ograniczone do stosowania na teoretyczną wyłączność. Natomiast w kontekście ram nadanych myśleniu przez walkę czy wydarzenie, jest to czerpanie z tego, co akurat okazuje się użyteczne i porzucanie całej reszty.

A więc walka, selekcja i przysposobienie. Postuluję, że właśnie w taki specyficzny sposób powstała książeczka jaką jest *Insurekcja....* Nie jako „instrukcja dla terrorystów”, jak chciało francuskie państwo, a jako prowokacja, na którą się złapało. Nie „instrukcja”, bo ten kto walczy, nie musi być instruowany

co do metod, których samemu używa. Prowokacja jednak, a nie wyzwanie, bo autorzy dobrze wiedzieli, że akademicy – cel ich prowokacji – nie sprostają żadnemu wyzwaniu. Książeczka ta jest więc przede wszystkim policzkiem, policzkiem za ich pretensjonalność, tchórzliwość, protekcyjne podejście do tych, których postrzegają jako gorszych i kolaborantstwo z kolonialnym porządkiem. Jego głębokie „wikłanie się w dyskurs” i polemizowanie z różnymi autorami można odczytać tylko przez motto Trontiego: „prawdziwie wie ten, kto prawdziwie nienawidzi”. Jednocześnie udaje jej się wytworzyć głęboki rezonans pomiędzy dyskursem zadymiarzy a przepastną ilością literatury. Czy jest to bardziej eksperyment oczyszczenia literatury ogniem walki, czy też próba wzmocnienia walki wywoleńczym potencjałem literatury, pozostaje niepewne, bo książka ta spełniła w pewnym stopniu oba te zadania. Jeśli jednak głównym celem było wywołanie skandalu, wytworzenie wydarzenia – filozofii, która nie uchyla się przed wnioskami, otwarcie wzywa do obalenia tego porządku i używa wysokiej metafizyki, by zajadle skrytykować obecny stan rzeczy – to Komitet zdecydowanie osiągnął swój cel. I w ten sposób została stworzona dziura w dyskursie, który był dotychczas zupełnie wrogi walczącym podmiotowościom.

Jak czytać?

Metod do odnalezienia w tej książce jest być może równie wiele, co metod na czytanie tej książki. Można ją potraktować jak zapis ducha pewnej minionej już epoki, jako część specyficznej tradycji teorii politycznej, albo jak herolda wielkich rozruchów społecznych – nawet jeśli z mojej perspektywy niektóre te metody są mniej, a niektóre bardziej uzasadnione.

Uczulam tutaj osobę czytającą na ryzyko popadnięcia w często prześladowające nas, mieszkanki peryferii, polityczne oglądactwo. Puste wzdychanie do miejsc, w których walka jest intensywniejsza i idealizowanie ich jako wszystkiego, czym chciałybyśmy być, a nie jesteśmy. Podobnie niepożądane byłoby potraktowanie tej książki jak Ewangelii i ścisłe trzymanie się „kanonu” teoretycznego, z którego korzysta. (A który jednak jest raczej efektem absurdalnego stopnia odczytania autorów zderzonego z wyjątkowymi okolicznościami; być może dlatego tak zjadliwie atakują oni drobnomieszczactwo, nienawidząc głównie drobnomieszczucha w sobie.)

Powtarzając więc gest autorów, chciałbym zaproponować jeden bardzo konkretny sposób czytania ich książki: mianowicie nie ze względu na treść, a przez wzgląd na tę konkretną metodę, którą zdecydowałem się naświecić. Bo umówmy się – to, o czym jest, będzie nam obce nawet po przeczytaniu kilku książek

o wszystkich wydarzeniach, w których ta książka jest zanurzona. To, co było, minęło i nigdy już nie będziemy w stanie mieć wglądu w niuanse sytuacji, które popchnęły Komitet do napisania takiej, a nie innej książki. Nie potrzebujemy go jednak – mamy swoje doświadczenia, swoje sytuacje i swoje strony w walce, które możemy zająć. To, że wydarzeniom, które obserwujemy, często brakuje pompy wielutygodniowych zamieszek czy wielkich ruchów społecznych, nie oznacza, że wymagają od nas mniejszej konsekwencji i zdecydowania. Tylko skupienie się na swoim kontekście i stawkach, o które możemy walczyć, może prowadzić nas do prawdziwie płodnej teorii politycznej.

A tę książkę być może najlepiej byłoby potraktować tak samo bezceremonialnie, jak ona traktuje swoje źródła: czerpać z niej, przysposabiać sobie ją, krytykować ją, obracać ją przeciwko sobie samej i ostatecznie porzucić, jeśli wyciśnie się z niej już tyle, ile się da. Jest ona ostatecznie pewnym studium przypadku i jak w każdym takim studium to, co się naprawdę liczy, to nie szczegóły tego czy tamtego przykładu, a szersze wnioski metodologiczne, które można z niego wyciągnąć i samemu wdrożyć. Dobrze jest więc przeczytać tę książeczkę wnikliwie, bo choć jest krótka, to jest naprawdę gęsto napakowana informacjami – co jest oznaką efektywnego pisania, ale też źródłem kłopotów interpretacyjnych (a już zdecydowanie frustracji tłumaczy). Dlatego polecamy też zwracać uwagę na przypisy

i zapoznać się z różnymi materiałami dodatkowymi, które wokół niej planujemy opublikować.

Najważniejsze w tym wszystkim jest jednak to, by nie traktować jej jak skończonego zestawu zaleceń, analiz i postaw, które należy przyjąć. Ta książeczka jest od tego tak daleka, jak tylko jest to możliwe. To dopiero przyczynek i początek rozmowy, nie jej koniec. Jak każdy taki przyczynek, jest niedoskonała, więc nie doszukujmy się w niej więcej, niż w niej jest. Najlepiej dla jej zrozumienia robi, jeśli uczyni się ją częścią wspólnej dyskusji, szczególnie codziennej. Ostatecznie, co jest tłumaczone w takiej książce jak *Insurekcja...*, która nawet nie jest zatopiona w kontekście, tylko często jest tym kontekstem? Czy są to idee, pojęcia filozoficzne i zalecenia teoretyczne, czy raczej atmosfera, doświadczenie, historia, afekty i wszystko inne, czym słowa w tym tekście są nasycone? I tak jak ta „zasłyszana w barach” książka nie może być przetłumaczona sama w sobie, bo jest tylko wycinkiem myśli, które funkcjonowały w obiegu rozmowy, tak nie może być zrozumiana tylko przez jej przeczytanie. Jej treść to jedynie zbiór poszlak, które można prześledzić w naszych własnych życiach, by dotrzeć do własnych wniosków i rozpocząć wokół nich podobne rozmowy jak te, które doprowadziły do powstania tej książki. Tego ostatecznie właśnie chcieliby autorzy – byśmy się rozgadali. A co to dokładnie oznacza, dowiedzie się już od nich samych.

Jak by nie spojrzeć...

Jak by nie spojrzeć, teraźniejszość to ślepa uliczka – a to nie jest nawet najgorsza z jej cnót. Pozbawia ona nadzieję wszelkich podstaw i niezwłocznie dyskredytuje wszystkich tych, którzy utrzymują, że mają rozwiązania. Zewsząd słychać, że wszystko zmierza od złego ku gorszemu. „Przyszłość nie ma przyszłości” – oto mądrość epoki, która pod swoją atmosferą skrajnej normalności, skrycie osiągnęła poziom świadomości pierwszych punków.

Drzwi sfery reprezentacji politycznej się zamykają. Od lewicy po prawicę zieje ta sama nicość, która raz pręży muskuły¹, a raz robi minę niewiniątka; te same szczyty list wyborczych² na przemian recytujące przemówienia przygotowane w oparciu o najnowsze ustalenia działów PR. Ci, którzy nadal głosują, zdają się nie mieć żadnych innych zamiarów, jak tylko wysadzić urny wyborcze, głosując w akcie czystego protestu. Zaczynamy zgadywać, że ludzie tak naprawdę głosują przeciwko samemu głosowaniu. Jak na razie nic w obliczu tej sytuacji nie stanęło na wysokości zadania. W swoim milczeniu ludność zdaje się nieskończenie bardziej dorosła niż którakolwiek z tych marionetek sprzecających się o rządzenie nią. Dowolny *chibani*³

z Belleville⁴ mówi mądrzej niż którykolwiek z naszych tak zwanych przywódców. Pokrywa społecznego kotła jest zamknięta na cztery spusty, a ciśnienie w środku cały czas rośnie. Widmo *Que Se Vayan Todos!*, które nadciągnęło z Argentyny, zaczyna poważnie nawie-dzać przywódców.

Pożoga listopada 2005 roku nadal rzuca cień na świadomość wszystkich. Te pierwsze uroczyste ogni-ska⁵ ochrzciły pełną obietnic dekadę. Choć medialna bajka o „przedmieściach-przeciwko-Republice” jest skuteczna, to mija się z prawdą. Pożary wybuchały nawet w centrach miast, co metodycznie tuszowano. W Barcelonie w solidarności płonęły całe ulice, ale poza jej mieszkańcami nikt o tym nie wiedział. Prawdą nie jest nawet to, że kraj kiedykolwiek przestał płonąć. Na ławie oskarżonych znajdują się wszelkiego rodzaju sylwetki, które łączy jedynie nienawiść do istniejącego społeczeństwa, nie przynależność do klasy, rasy czy dzielnic. Nowością nie jest „bunt przedmieść” – który nie był już przecież niczym nowym w latach 80. – ale zerwanie z jego przyjętymi formami. Napastnicy już nikogo nie słuchają – ani starszych braci, ani lokalnych stowarzyszeń, które powinny zarządzać powrotem do normalności. W to wydarzenie swoich rako-twórczych macek nie będzie w stanie zatopić żadne *SOS Racisme*⁶; tylko i wyłącznie poprzez zmęczenie, zniekształcanie go i medialną omertę można uda-wać, że położono mu kres. Cały ten szereg nocnych

i anonimowych ataków, i ta niesiona bez słowa destrukcja mają tę zaletę, że poszerzyły wyłom pomiędzy polityką i tym, co polityczne tak bardzo, jak tylko się dało. Nikt nie może uczciwie zaprzeczyć wadze tego, jak otwarta była ta ofensywa, która nie stawiała żadnych żądań, nie miała żadnego przesłania poza groźbą i nie miała nic wspólnego z polityką. Trzeba by być ślepym, żeby nie dostrzec czysto politycznej natury tej zdecydowanej negacji polityki, albo trzeba nie wiedzieć niczego o autonomicznych ruchach młodzieżowych ostatnich trzydziestu lat. Jak stracone dzieci⁷ spaliły ozdóbki społeczeństwa, które zasługuje na szacunek nie bardziej niż paryskie monumenty pod koniec Krwawego Tygodnia⁸ – społeczeństwa, które samo dobrze o tym wie.

Obecna sytuacja nie będzie miała żadnego społecznego rozwiązania. Po pierwsze dlatego, że ta mętna mieszanina środowisk, instytucji i indywidualnych baniek, którą ironicznie nazywamy „społeczeństwem”, jest niespójna, a po drugie dlatego, że nie ma już żadnego języka wspólnego doświadczenia. A nie dzieli się bogactwa, jeśli nie dzieli się języka. Potrzeba było pół wieku walki wokół Oświecenia, aby zniweczyć możliwości Rewolucji Francuskiej, oraz stu lat walki wokół pracy, aby stworzyć przerażające „państwo opiekuńcze”. Walki tworzyły język, za pomocą którego wyrażał się nowy porządek. Dziś – nic podobnego. Europa to kontynent bez grosza przy duszy, który ukradkiem

chodzi na zakupy do Lidla i podróżuje *low cost*, żeby móc nadal podróżować. Żaden z „problemów” formułowanych w społecznym języku nie może zostać rozwiązany. Kwestie „emerytur”, „prekaryjności”, jak i kwestia „młodzieży” i jej „przemocy” mogą jedynie pozostawać w zawieszeniu, podczas gdy policja zarządza coraz to bardziej szokującymi sytuacjami, które są tymi „kwestiami” przykrywane. Ale nie da się osłodzić faktu, że podcieramy dupy porzuconych przez swoje rodziny staruszków, którzy nie mają nic do powiedzenia. Ci, którzy na przestępczej ścieżce odnaleźli mniej upokorzeń i więcej korzyści niż w zmywaniu podłóg, nie złożą broni, a więzieniem nie zaszczepi się w nich miłości do społeczeństwa. Hordy emerytów ze swoją żądzą przyjemności nie będą tolerować drastycznych cięć w ich miesięcznych dochodach, a odmowa pracy przez dużą część młodzieży może ich tylko jeszcze bardziej nakręcić. I w końcu, żaden dochód podstawowy uchwalony dzień po quasi-powstaniu nie położy fundamentów pod nowy *New Deal*, nowe przymierze, nowy pokój. Nie ma już na to społeczno nastroju.

Zamiast rozwiązań, narastać będzie presja na to, by *nic się nie działo*, a wraz z nią policyjna parcelacja terytorium. Dron, który – jak przyznała policja – 14 lipca tego roku przeleciał nad Seine-Saint-Denis⁹, ma luje przyszłość w ostrzejszych barwach niż wszystkie humanistyczne zamroczenia. Fakt, że zadbano o podkreślenie tego, że dron był nieuzbrojony, wyraźnie

wskazuje kierunek, w jakim zmierzamy. Terytorium będzie dzielone na coraz szczelniejsze strefy. Autostrady położone na skraju „dzielnic wrażliwych” już teraz tworzą niewidzialne mury, które są w stanie odciąć je od osiedli domków jednorodzinnych. Czegokolwiek by republikańscy dobroczyńcy sobie nie myśleli, to wiadomo, że zarządzanie tymi dzielnicami „przez społeczność” działa najlepiej. Czysto metropolitalne części terytorium – ścisłe centra miast – nadal będą wieść swoje pełne przepychu i coraz to bardziej przebiegłe, wyrafinowane i olśniewająco zdekonstruowane życia. Rozświecą one całą planetę swoimi jakby wyjętymi z burdelu światłami, podczas gdy patroli kryminalnych [BAC] i prywatnych firm ochroniarskich – w skrócie: bojówek – będą się plenić w nieskończoność, coraz bardziej beczelnie kryte przez prawo.

Impas teraźniejszości, choć wszędzie dostrzegalny, wszędzie jest negowany. Tym tematem nigdy wcześniej nie zajmowało się naraz tak wielu psychologów, socjologów i literatów, każdy w swoim własnym specjalistycznym żargonie, którym nie wyrażają nigdy żadnych wniosków. Wystarczy posłuchać muzyki naszych czasów – ballad *nouvelle chanson*¹⁰, w których drobnomieszczaństwo robi sekcję swojego sumienia, zaraz obok hip-hopowych deklaracji wojny Mafii K’1 Fry¹¹ – by zauważyć, że koegzystencja wkrótce się skończy, że decyzja jest w zasięgu ręki.

Książka ta jest podpisana nazwą wyimaginowanego kolektywu. Jej osoby redaktorskie nie są jej autorami. Zadowolili się jedynie pewnym uporządkowaniem truizmów naszych czasów, tego, co szepcze się przy barowych stołach i za zamkniętymi drzwiami sypialni. Jedyne, co zrobili, to utrwalili niezbędne prawdy, których powszechna represja jest tym, co wypełnia szpitale psychiatryczne i co napęnia oczy żalem. Zrobili z siebie skrybów tej sytuacji. Przywilejem radykalnych okoliczności jest to, że trafność logicznie prowadzi do rewolucji. Wystarczy wtedy powiedzieć, co ma się przed sobą i nie uchylać się od wniosków.

Krąg pierwszy

„I AM WHAT I AM”

„I AM WHAT I AM.” To najnowszy dar marketingu dla świata, ostateczna faza rozwoju reklamy, daleko wykraczająca poza wszystkie zachęty by być innym – bądź sobą i pij Pepsi. Trzeba było dekad koncypowania, żeby dotrzeć do tej czystej tautologii: JA = JA. On biegnie na bieżni w swojej siłowni, naprzeciwko lustra. Ona wraca z pracy, za kierownicą swojego smart-samochodu. Czy się spotkają?

„JESTEM CZYM JESTEM.” Moje ciało należy do mnie. Ja jestem sobą, ty jesteś tobą i *coś jest nie tak*. Masowa personalizacja¹². Indywidualizacja wszystkich warunków – życia, pracy i nieszczęść. Rozproszona schizofrenia. Pełzająca depresja. Atomizacja na drobne paranoiczne cząsteczki. Histeryzacja kontaktu. Im bardziej chcę być Sobą, tym większe mam poczucie pustki. Im bardziej wyrażam Siebie, tym bardziej usycham. Im bardziej gonię za Sobą, tym bardziej jestem zmęczona. Ja, ty i my stoimy na straży własnego Ja jak znużeni ciecie. Staliśmy się swoimi własnymi przedstawicielami w dziwnym handlu; gwarantujemy personalizację, która ostatecznie wygląda bardziej jak

okaleczenie. Ubezpieczaniem się doprowadzamy się do ruiny – z mniej lub bardziej skrywaną niezdarnością.

Tymczasem, *daję sobie radę [je gère]*. Mam po-goń za własnym ja, mojego bloga, moje mieszkanie, najnowsze modne bzdety, dramy w związkach, to, kogo pieprzę... i jakiej tam jeszcze innej protezy potrzebuję, żeby podeprzeć Siebie! Gdyby „społeczeństwo” nie stało się tak podręcznikową abstrakcją, to składałyby się na nie wszystkie kule egzystencjalne, które mi się wręcza, żebym mógł wlec się dalej; wszystko, od czego zgodziłem się uzależnić za cenę mojej tożsamości. *Osoba z niepełnosprawnością to model obywatelstwa, który nadchodzi*. Nie bez powodu stowarzyszenia, które dziś je wykorzystują, obecnie domagają się przyznania im „dochodu podstawowego”.

Wszechobecny nakaz „bycia kimś” utrzymuje patologiczny stan, który czyni to społeczeństwo niezbędnym. Nakaz bycia silnym rodzi słabość, przez którą jest ono utrzymywane – *aż wszystko wydaje się zyskiwać aspekt terapeutyczny*, nawet pracowanie, nawet kochanie. Te wszystkie „jak się masz?”, które wymieniamy w ciągu dnia, sprawiają, że społeczeństwo zdaje się składać z pacjentów mierzących sobie wzajemnie temperatury. Uspołeczenienie [*sociabilité*] to teraz tysiąc małych nisz, tysiąc małych przytułków, w których możesz się ogrzać; gdzie zawsze jest lepiej niż na przejmująco oziębłym zewnątrz. Gdzie wszystko jest fałszywe, bo jest tylko pretekstem żeby się rozgrzać.

Gdzie nic nie może się stać, bo wszyscy jesteśmy zbyt zajęci dygotaniem. Wkrótce to społeczeństwo będzie trzymało się razem tylko przez to, że wszystkie jego społeczne atomy ciągną w kierunku iluzorycznego lekarstwa. To elektrownia, która zasila swoje turbiny dzięki gigantycznemu rezerwuarowi niewypłakanych łez, zawsze na granicy rozlewu.

„I AM WHAT I AM.” Nigdy wcześniej dominacja nie znalazła tak niewinnie brzmiącego sloganu. Utrzymywanie Siebie w stanie ciągłego połowicznego rozkładu, w przewlekłym połowicznym załamaniu, jest najpilniej strzeżonym sekretem obecnego porządku rzeczy. W istocie – słabe, przygnębione, samokrytyczne i wirtualne Ja jest tym nieskończone adaptowalnym podmiotem potrzebnym do nieprzerwanej produkcji opartej na innowacji, przyspieszonym postarzaniu technologii, ciągłym burzeniu norm społecznych i uogólnionej elastyczności. To jednocześnie najbardziej żarłoczna konsumentka i, paradoksalnie, *najbardziej produktywna Ja*, która z największą energią i chciwością rzuci się w najmniejsze *przedsięwzięcie*, wyłącznie po to by powrócić później do swojego stanu larwalnego.

„CZYM JESTEM”, więc? Od dzieciństwa przeszłam przez potoki mleka, zapachów, historii, dźwięków, emocji, kołysanek, substancji, gestów, pomysłów, wrażeń, spojrzeń, piosenek i jedzenia. Czym jestem? Pod każdym względem przywiązana do miejsc,

cierpień, przodków, przyjaciół, miłości, wydarzeń, języków, wspomnień, najróżniejszych rzeczy, które oczywiście *nie są mną*. Wszystko, co przywiązuje mnie do świata, wszystkie połączenia, które się na mnie składają – wszystkie siły, które mnie zamieszkują – nie spleatają się w tożsamość, do wymachiwania którą się mnie zachęca, ale w *istnienie*, pojedyncze, zwyczajne, żywe, z którego wyłania się czasami ten byt, który mówi „ja”. Nasze poczucie niespójności jest po prostu konsekwencją tego głupiego przekonania o trwałości „Ja” i niewielkiej ilości uwagi poświęconej temu, co faktycznie czyni nas tym, czym jesteśmy.

Widok „I AM WHAT I AM” Reeboka na wieżowcu w Szanghaju przyprawia o zawrót głowy. Zachód naciera we wszystkie strony, podobnie jak jego ulubiony koń trojański – ta zabójcza sprzeczność pomiędzy Mną a światem, jednostką a grupą, pomiędzy przywiązaniem a wolnością. Wolność nie jest aktem pozbywania się przywiązań, ale *praktyczną* zdolnością działania na nich, poruszania się w nich, formowania ich czy zrywania. Rodzina istnieje jako rodzina – to jest, jako piekło – tylko dla tych, którzy przestali próbować zmienić jej wyniszczające mechanizmy albo nie wiedzą, jak to zrobić. Wolność do *wykorzenienia* się zawsze była złudną wolnością. Nie możemy pozbyć się tego, co nas krępuje, nie tracąc jednocześnie tego, do czego można by przyłożyć nasze siły.

„I AM WHAT I AM.” jest zatem nie tylko kłamstwem, zwykłą kampanią reklamową, ale kampanią *militarną*, okrzykiem bojowym skierowanym przeciwko wszystkiemu, co istnieje *pomiędzy* bytami, przeciwko wszystkiemu, co pomiędzy nimi niewyraźnie krąży¹³, wszystkiemu, co niewidocznie je łączy, wszystkiemu, co zapobiega całkowitemu spustoszeniu, przeciwko wszystkiemu, co sprawia, że *istniejemy* i zapewnia, że świat nie wszędzie wygląda jak autostrada, park rozrywki czy nowe miasteczko: czysta, beznamietna lecz uporządkowana nuda; pusta, zamrożona przestrzeń, gdzie nie rusza się nic poza zarejestrowanymi ciałami, molekułami samochodów i perfekcyjnymi towarami.

Francja nie byłaby ojczyzną tabletek uspokajających, rajem antydepresantów, mekką nerwicy, nie będąc jednocześnie europejskim liderem godzinowej produktywności. Choroba, przemęczenie i depresja mogą być postrzegane jako *pojedyncze* symptomy tego, co powinno zostać wyleczone. Przyczyniają się one do utrzymywania istniejącego porządku, do mojego potulnego przystosowania się do idiotycznych norm i do unowocześniania moich kul ortopedycznych. Obejmują one tę część mnie, która składa się ze skłonności oportunistycznych, konformistycznych i produktywnych oraz tych, z którymi trzeba będzie się delikatnie pożegnać. „Wiesz, trzeba wiedzieć jak się zmienić”.

Potraktowane jednak jako *fakty*, moje słabości mogą prowadzić do dekonstrukcji hipotezy Siebie. Stają się wtedy aktami oporu w trwającej wojnie. Stają się wyrazem buntu i źródłem energii przeciwko wszystkiemu, co spiskuje, by nas znormalizować, by nas okaleczyć. *To nie „Ja” jestem w kryzysie, ale ta forma, którą starają się mi nadać.* Chcą uczynić nas dobrze zdefiniowanymi, dobrze wydzielonymi Nami, klasyfikowalnymi i policzalnymi według cech – krótko mówiąc, kontrolowanymi – podczas gdy w rzeczywistości jesteśmy stworzeniami pośród stworzeń, unikatami wśród nam podobnych, żywą tkanką wypłatającą tkanę świata. W przeciwieństwie do tego, co powtarzano nam od dzieciństwa, inteligencja nie oznacza wiedzy o tym, jak się przystosować – a jeśli jest to rodzaj inteligencji, to jest to inteligencja niewolników. *Nasze nieprzystosowanie, nasze zmęczenie są problemami* tylko z punktu widzenia tego, co chce nas ujarzmić. Wskazują one raczej punkt wyjścia, punkt styku zupełnie nowych partnerstw. Ukazują bardziej zniszczony krajobraz, ale nieskończenie lepiej nadający się do dzielenia się nim z innymi niż wszystkie te bajkowe krainy, które to społeczeństwo dla siebie utrzymuje.

My nie jesteśmy przygnębieni, my strajkujemy. Dla tych, którzy nie chcą dawać sobą zarządzać [*se g  rer*], „depresja” nie jest stanem, lecz przejściem, pożegnaniem, unikiem w kierunku politycznego odstępstwa [*d  saffiliation politique*]. Od tej pory nie ma

innych możliwych form pojednania niż terapia lekami i policją. To dlatego dzisiejsze społeczeństwo nie waha się wciskać Ritalinu¹⁴ swoim nazbyt żywiołowym dzieciom, wpędzać ludzi w dożywotnie uzależnienie od farmaceutyków i twierdzi, że wykrywa „zaburzenia zachowania” od trzeciego roku życia – bo to wszystko to pękająca z każdej strony hipoteza „Ja”.

Krąg drugi

„Rozrywka to witalna potrzeba”

Rząd, który ogłasza stan wyjątkowy przeciwko piętnastoletnim dzieciakom. Kraj, który powierza swój los w ręce drużyny piłkarskiej. Psiarz w szpitalnym łóżku, który skomle, że padł ofiarą „przemocy”. Prefekt wydający rozporządzenie przeciwko ludziom budującym domki na drzewie. Dwóch dziesięciolatków z Chelles, oskarżonych o podpalenie ludoteki. Ta epoka wyróżnia się pewną groteskowością sytuacji, która zdaje się wciąż jej umykać. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że media – w swoim narzekaniu i oburzeniu – robią wszystko, co mogą, by stłumić śmiech, który powinien wybuchać po takich wiadomościach.

Bo wybuch śmiechu jest jedyną stosowną odpowiedzią na wszystkie poważne „kwestie” podnoszone przez Wiadomości. Weźmy chociażby najbardziej oklepany temat: nie ma czegoś takiego jak „kwestia migracji”. Kto wciąż dorasta tam, gdzie się urodził? Kto mieszka tam, gdzie dorastał? Kto pracuje tam, gdzie mieszka? Kto mieszka tam, gdzie mieszkali jego przodkowie? I w końcu, czyje są dzieci tej epoki, telewizji czy swoich rodziców? Prawda jest taka, że

zostaliśmy kompletnie oderwani od jakiegokolwiek „przynależności”, jesteśmy znikąd, a rezultatem tego – wraz z nowo-nabytymi skłonnościami do turystyki – jest niezaprzeczalne cierpienie.

Nasza historia jest historią kolonizacji, migracji, wojen, wygnań i niszczenia wszelkich korzeni. To historia wszystkiego, co uczyniło nas obcymi w tym świecie, gośćmi w swojej własnej rodzinie. Zostaliśmy wywłaszczeni z naszego języka poprzez edukację, z naszych piosenek przez przeboje wszechczasów, z naszych ciał przez wszędobylską pornografię, z naszych miast przez policję i z naszych przyjaciół przez pracę najemną. Do tego we Francji dochodzi jeszcze zaciekle i odwieczny proces indywidualizacji – dzieło władzy państwowej, która ocenia, porównuje, dyscyplinuje i dzieli swoich poddanych od najmłodszych lat, i niszczy wszelką wymykającą się jej odruchową solidarność. Po tym pozostaje tylko obywatelstwo – nieskalane, urojone poczucie przynależności do Republiki. Francuz, bardziej niż ktokolwiek inny, jest wywłaszczony, jest nędznikiem. Jego nienawiść do obcokrajowców opiera się na jego nienawiści do samego siebie *jako obcego*, a jego zazdrość wymieszana ze strachem jaki czuje wobec enklaw ubóstwa nie wyraża nic innego jak tylko urazę do wszystkiego, co stracił. Nie może nie zazdrościć tzw. dzielnicom „relegacji”, w których przetrwały resztki życia wspólnotowego, jakiegokolwiek połączenia pomiędzy bytami, jakiegokolwiek

niepaństwowe solidarności, nieformalna gospodarka i organizacja, której jeszcze nie oddzielono od tych, którzy się organizują.

Osiągnęliśmy taki stopień nędzy, że jedynym sposobem, aby poczuć się Francuzem, to kurwić na imigrantów i wszystkich tych, którzy są *wyraźnie bardziej obcy niż ja*. W tym kraju imigranci mają kuriozalny status suwerenności: *gdyby ich zabrakło, Francuzi także mogliby zniknąć*.

Francja jest wytworem swoich szkół, nie odwrotnie. Żyjemy w absurdalnie uszkolnionym kraju, w którym ludzie wspominają zdanie matury jako kluczowy moment swojego życia, a gdy już są na emeryturze, to potrafią wciąż opowiadać o swojej porażce sprzed czterdziestu lat na takim a takim egzaminie i o tym, jak bardzo spieprzyło to ich karierę i całe życie. Od półtora wieku francuskie szkolnictwo wytwarza bardzo wyróżniający się typ państwowej podmiotowości: ludzi akceptujących selekcję i rywalizację pod warunkiem, że szanse są wyrównane; ludzi oczekujących, że za życie dostaje się nagrodę jak w jakimś konkursie, według swoich zasług; ludzi potrzebujących pozwolenia, żeby coś wziąć; ludzi w milczeniu respektujących kulturę, zasady, prawa i czołówki klas. Ich miłością do Szkoły jest naznaczone nawet przywiązanie do ich wielkich, krytycznych myślicieli i ich odrzucanie kapitalizmu. Tymczasem Szkoła upada i wraz z nią rozpada się właśnie ta państwowa konstrukcja podmiotowości,

każdego dnia coraz bardziej. Ponowne pojawienie się, w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ulicznej szkoły i kultury – konkurujących ze Szkołą Republiki oraz jej kartonową kulturą – jest najgłębszą traumą, jaką francuski uniwersalizm obecnie przechodzi. W tej sprawie najbardziej skrajna prawica z góry jedna się nawet z najbardziej zjadliwą lewicą. Jednak nazwisko Julesa Ferriego¹⁵ – ministra w rządzie Thiersa¹⁶ z czasów pacyfikacji Komuny i teoretyka kolonizacji – samo w sobie powinno być wystarczającym powodem, by uznać tę instytucję za podejrzaną.

A jeśli chodzi o nas, to kiedy widzimy nauczycieli z nie wiadomo jakiego „komitetu czujności obywatelskiej” biadających w wieczornych wiadomościach, że ktoś spalił ich szkołę, przypominamy sobie jak wiele razy, jako dzieci, marzyliśmy o zrobieniu dokładnie tego samego. Kiedy słyszymy lewicowego intelektualistę bełkoczącego o barbarzyństwie band dzieciaków nękających przechodniów na ulicy, kradnących ze sklepów, palących samochody i grających w kotka i myszkę z przewencją [CRS], to przypominamy sobie, co mówiono o *blousons noirs*¹⁷ w latach 60. albo nawet o apaszach z „Belle Époque”: „*Apaszami*” – pisał sędzia z Seine w 1907 roku – „od kilku ostatnich lat modne jest nazywanie wszystkich niebezpiecznych jednostek, zbieraniny recydywistów, wrogów społeczeństwa bez ojczyzny czy rodziny, uciekinierów od wszelkich zobowiązań, gotowych do najbardziej bezczelnych

i zuchwałych prowokacji oraz do każdego rodzaju ataku na osoby lub własność.”

Te załogi, które unikają pracy, przyjmują nazwy swoich dzielnic i konfrontują się z policją, są koszmarem zindywidualizowanego francuskiego obywatela: uosabiają wszystko, czego się wyrzekł, wszystkie szanse na radość, z których nigdy nie skorzysta. *Samo istnienie* w kraju, w którym od razu ucisza się podśpiewujące sobie dziecko – „przestań zawodzić!”¹⁸ – i gdzie szkolna kastracja wypływa na świat pokolenia grzecznych pracowników, ma w sobie coś zuchwałego.

Nieprzemijająca aura [fascynacji], utrzymująca się wokół postaci Mesrine’a¹⁹ ma mniejszy związek z jego prawością i zuchwałością, niż z tym, że mścił się za to, za co wszyscy powinniśmy się mścić. Czy też może raczej: powinniśmy mścić się *bezpośrednio*, zamiast się ociagać. Nie ma bowiem wątpliwości, że Francuz wciąż się mści – tysiącami niedostrzeganych odruchów, wszystkimi swoimi oszczerstwami, lodowatą złośliwością i jadowitą grzecznością – bez ustanku i na każdym. Mści się za to, że zrezygnował z samego siebie i pozwolił po sobie deptać. Już najwyższy czas, *żeby tak jest, panie władzo!* zostało wyparte przez *jechać policję!* Otwarta wrogość pewnych załóg jest w tym sensie jedynie bardziej gromkim wyrazem trującej atmosfery, zgniłego ducha i pragnienia zbawiennego zniszczenia tego, co trawi ten kraj.

Nazywanie zbioru tych wszystkich nieznanym, z którymi żyjemy, „społeczeństwem”, jest tak bezpodstawne, że nawet socjologowie myślą o porzuceniu tego terminu; a był on przecież przez ostatni wiek ich chlebem powszednim. Wolą teraz metaforę *sieci* opisującą to, jak wyglądają połączenia pomiędzy cybernetycznymi samotnikami, jak tworzą się słabe interakcje znane jako: „koleżanka z pracy”, „kontakt”, „kumpel”, „znajomy”, „osoba partnerska” czy „przygoda jednej nocy”. Zdarza się mimo wszystko, że sieci takie zagęszczają się czasem w *środowiska społeczne*, ale nie ma w nich wspólnego nic poza kodami [kulturowymi]; nie dzieje się w nich nic poza ciągłą rekompozycją tożsamości.

Szczegółowe opisywanie wszystkiego, co w istniejących społecznych relacjach wywołuje agonię, byłoby stratą czasu. Mówi się, że rodzina powraca, że para powraca. Jednak powracająca rodzina nie jest tą samą, która odeszła. Jej powrót to nic innego jak pogłębienie panującego odosobnienia, na potrzeby której oszukuje, sama się oszustwem stając. Każdy może poświadczyć o dawkach smutku przyjmowanych rok po roku na rodzinnych spotkaniach, wymuszonych uśmiechach, zakłopotaniu tym, jak wszyscy na próżno udają i poczuciu, że na stole, leży trup, a wszyscy się zachowują jak gdyby nigdy nic. Flirty, rozwody, konkubinaty, przybrane rodziny – wszyscy czują bezsens smutnej komórki rodzinnej, ale zdaje się, że większość uważa

odrzuć jej za coś jeszcze smutniejszego. Rodzina nie ma już w sobie wiele z duszącej matczynej kontroli, czy też z ojcowskiej bezpośredniości; teraz jest to raczej infantylne poddanie się przytulnej zależności, w której wszystko jest znajome; to ten moment beztroski w obliczu niezaprzeczalnie rozpadającego się świata – świata, w którym „usamodzielniał się” to eufemizm na „w końcu masz szefa i płacisz czynsz”. Chciałoby się w swojskości biologicznej rodziny znaleźć wymówkę dla erozji wszelkiej determinacji, w której i tak się chwiejemy; byśmy pod pretekstem dorostania wyrzekli się wszystkiego, co przychodzi w okresie dojrzewania i całej powagi dzieciństwa. Musimy ochronić się przed tą erozją.

Para jest jak ostatni etap wielkiej społecznej kłęski. To oaza w samym środku ludzkiej pustyni. Pod jej opiekuńczymi skrzydłami „intymności”, znajdujemy wszystko to, co wyraźnie uszło ze współczesnych relacji społecznych: ciepło, prostotę, prawdę i życie, którego nie musimy przed nikim odgrywać. Po tym jednak, jak motylki wylecą już z brzucha, „intymność” pokazuje swoje prawdziwe oblicze: sama jest społecznym wynalazkiem, który mówi językiem kobiecych magazynów i psychologii. Jest jak cała reszta, wyrachowana aż do obrzydzenia. Nie ma w niej więcej prawdy niż gdzie indziej; tu też dominują kłamstwa i prawa wyobcowania. Kiedy ktoś łutem szczęścia odkrywa tę prawdę, to jest tak, jakby ona sama wzywała go, by się

nią dzielić – a to przeczy samej formie pary. Bo to, co sprawia, że byty się kochają, jest także tym, co czyni je kochalnymi i rujnuje utopię solipsyzmu-dla-dwojga²⁰.

Rozkład form społecznych to tak naprawdę błogosławieństwo. Są to dla nas idealne warunki dla masowych, dzikich eksperymentów, nowych aranżacji i nowych lojalności. Sławna „rodzicielska rezygnacja”²¹ wrzuciła nas w konfrontację ze światem, który wymaga wczesnego rozwinięcia świadomości i przepowiada nadejście wspaniałych rewolt. W śmierci pary widzimy narodziny podniecających form kolektywnej uczuciowości; teraz, kiedy płęć jest całkowicie zużytym terminem, a „męskość” i „kobiecość” paradują w przeżartych przez mole strojach; teraz, kiedy trzy dekady nieprzerwanego rozwoju pornografii wyczerpały wszelki urok grzechu i wyzwolenia. To, co bezwarunkowe w więziach rodzinnych, zamierzamy zamienić w ramy politycznej solidarności, tak nieprzenikalnej dla państwowej ingerencji jak romskie obozowisko. Nawet ta nieskończona ilość pieniędzy, które wielu rodziców musi wysyłać swojemu sproletaryzowanemu potomstwu, mogłaby stać się formą patronatu dla społecznej wywrotowości. „Usamodzielnienie się” [*Devenir autonome*] mogłoby z łatwością oznaczać naukę walki ulicznej, okupowanie pustostanów, niepracowanie, kochanie się do szaleństwa i jumanie ze sklepów.

Krąg trzeci

„Życie, zdrowie i miłość to nic
pewnego – czemu praca miałaby
być wyjątkiem?”

Nie ma we Francji bardziej zagmatwanej kwestii od kwestii pracy i nie ma nic bardziej pokręconego niż stosunek Francuzów do pracy. Pojeźdź do takiej Andaluzji, Algerii, czy do Neapolu – tam zasadniczo nienawidzi się pracy; a z kolei w takich Niemczech, Stanach czy w Japonii pracę się czci. To prawda, że coś tam się w międzyczasie zmienia: pojawia się sporo *otaku* w Japonii, *frohe Arbeitslose* w Niemczech i *workaholics* w Andaluzji. To wciąż jednak tylko ciekawostki.

A tymczasem we Francji robimy wszystko, by wspiąć się po korporacyjnej drabinie, choć prywatnie szcycimy się, że tak naprawdę głównie nas to obchodzi. Zostajemy w robocie do dziesiątej wieczorem, gdy dostajemy za dużo zadań, ale nigdy nie mieliśmy żadnych skrupułów, żeby tu podkraść jakieś przybory biurowe, a tam świsnąć jakieś części zamienne i okazać je odsprzedać. Nienawidzimy szefów, ale chcemy być zatrudnieni za wszelką cenę. Tutaj mieć pracę to

zaszczyt, a pracowanie jest oznaką uległości. Krótko mówiąc: podręcznikowa kliniczna histeria. Kochamy nienawidząc, nienawidzimy kochając. A wszyscy wiemy, jakie zdumienie i konsternacja nawiedzają histeryka, gdy traci on swoją ofiarę, swojego pana – najczęściej nie udaje mu się pozbierać.

We Francji – kraju o fundamentalnie *politycznym* charakterze – władza przemysłowa zawsze była podległa władzy państwowej. Działalność gospodarcza nigdy nie przestała być podejrzliwie nadzorowana przez czepiającą administrację. Te grube ryby, które nie wywodzą się z państwowej szlachty – w przeciwieństwie do takich absolwentów Polytechnique²² czy ENA²³ na przykład – są pariasami świata biznesu; za kulisami przyznaje się, że są trochę żałośni. Bernard Tapie²⁴ jest ich tragicznym bohaterem: jednego dnia uwielbiany, następnego za kratami, ale zawsze *nietykalny*. To, że teraz występuje na scenie, nikogo nie dziwi. Przyglądając mu się tak, jak przyglądałoby się potworowi, francuska publiczność trzyma go na bezpieczny dystans; widowisko fascynującej niesławy, w którym gra on główną rolę, pomaga im uniknąć kontaktu. Mimo wielkiego blefu lat 80., *kult firmy nigdy nie przyjął się we Francji*, a każda szkalująca go książka jest gwarantowanym bestsellerem. Menedżerowie mogą obnosić się ze swoimi manierami i literaturą, jednak zawsze otacza ich kordon sanitarny kpin, ocean pogardy i morze sarkazmu. Przedsiębiorca nie jest nam rodziną; tak

w sumie to w hierarchii naszego wstrętu wolimy już gliniarza. Bycie funkcjonariuszem publicznym pozostaje, wbrew wszelkim przeciwnościom – wbrew bananowym dzieciom i prywatyzacji – zrozumiałą definicją uczciwej pracy. Możemy zazdrościć bogactwa wszystkim tym, którzy takiej nie wykonują, ale nie zazdrościmy im stanowisk.

To na tle tej nerwicy kolejne rządy wciąż mogą wypowiadać wojnę bezrobociu i twierdzić, że toczą „bitwę o miejsca pracy”, podczas gdy eks-menedżerowie obozują z laptopami w namiotach Lekarzy Świata nad brzegiem Sekwany. Podczas gdy – nawet pomimo masowych wyrejestrowań z urzędu pracy [ANPE] i wszystkich statystycznych sztuczek – rząd nadal musi się dwoić i troić, żeby utrzymać liczbę bezrobotnych poniżej dwóch milionów. Tymczasem nawet według agencji wywiadowczych zasiłki dla bezrobotnych [RMI] i nielegalny handel są jedyną gwarancją powstrzymania społecznej eksplozji. Stawką utrzymania fikcji pracy jest w równym stopniu nie tylko polityczna stabilność, ale i psychiczna ekonomia Francuzów.

A my mamy to wszystko w dupie. Należymy do pokolenia, któremu *bardzo dobrze* żyje się bez tej fikcji, które nigdy nie liczyło na emeryturę czy prawo pracy, nie wspominając już o prawie do pracy. Nie jesteśmy już nawet „sprekaryzowani”, jak lubią teoretyzować najbardziej zaawansowane frakcje lewicowych aktywistów²⁵, bo bycie sprekaryzowanym wciąż byłoby

określaniem się w odniesieniu do sfery pracy – w tym przypadku *jej rozkładu*. Akceptujemy konieczność zdobywania pieniędzy wszystkimi dostępnymi metodami – bo obecnie nie można się bez nich obejść – ale nie potrzebę pracy. Poza tym my już nie wykonujemy pracy: *my ją odbęgniemy*. Firma nie jest miejscem, w którym jesteśmy – bywamy w niej tylko przejazdem. To nie tak, że jesteśmy cyniczni: po prostu nie chcemy dawać się wykorzystywać. Całe to pierdolenie o motywacji, jakości, o inwestycjach w siebie po prostu po nas spływa, ku przerażeniu wszystkich HR-owców. Mówią, że jesteśmy rozczarowani Firmą, bo nie doceniła lojalności naszych rodziców, bo zwolniła ich ze zbytnią lekkością. Kłamią. Żeby być rozczarowanym trzeba wcześniej mieć nadzieję, a my nigdy nie pokładaliśmy w Firmie żadnych nadziei: widzimy ją taką, jaką jest i jaką zawsze była, z góry przegraną sprawą, w której jedyną zmienną jest komfort. Żal nam tylko naszych rodziców, że dali się na nią nabrać – przynajmniej tych, którzy w nią naprawdę wierzyli.

Cała ta gmatwanina uczuć związania z kwestią pracy może być wyjaśniona następująco: pojęcie pracy zawsze zawierało w sobie dwa sprzeczne *wymiały* – wymiar *wyzysku* i wymiar *uczestnictwa*. Z jednej strony mamy wyzysk indywidualnej i kolektywnej siły roboczej poprzez prywatne lub społeczne zawłaszczanie nadwyżki, z drugiej uczestnictwo we wspólnym wysiłku dzięki więziom powstającym pomiędzy tymi,

k którzy pracują razem we wszechświecie produkcji. Te dwa wymiary są przez pojęcie pracy złośliwie ze sobą mieszane, co koniec końców wyjaśnia obojętność pracowników wobec marksistowskiej retoryki – która zaprzecza wymiarowi uczestnictwa, jak i wobec retoryki menedżerskiej – która zaprzecza wymiarowi wyzysku. Stąd też ambiwalentny stosunek do pracy, raz nienawidzonej – jako że czujemy się obcy wobec tego, co robimy, a innym razem uwielbianej – o ile jej stawką jest część nas samych. To, co w pracy katastrofalne, jest tym, co już nastąpiło: tkwi we wszystkim, co trzeba było zniszczyć, we wszystkich, których trzeba było wykorzenić, aby praca zaczęła się w końcu wydawać *jedynym sposobem na egzystencję*. Horror pracy leży mniej w samej pracy jako takiej, a bardziej w trwającym od wieków metodycznym wyniszczaniu wszystkiego, co nią nie jest: zażyłości pomiędzy sąsiadami, ludźmi z tego samego fachu, wioski, strony w walce, rodu; jak i przywiązania do miejsc, bytów, pór roku czy sposobów robienia i mówienia.

W tym tkwi obecny paradoks: praca całkowicie zatriumfowała nad wszystkimi innymi sposobami istnienia w tym samym momencie, w którym pracownicy stali się zbędni. Wzrosty w produktywności, outsourcingu, mechanizacji, automatyzacji i digitalizacji produkcji są tak duże, że prawie do zera zredukowały ilość potrzebnej do wytworzenia danego towaru żywej siły roboczej. Żyjemy w paradoksalnym społeczeństwie

pracowników bez pracy, w którym rozpraszanie się, konsumpcjonizm i różne rozrywki jedynie pogłębiają dokładnie tą świadomość braku, od której powinny nas odciągać. Kopalnia w Carmaux, która zasłynęła stoma latami brutalnych strajków, przebudowana została w Cap Découverte. To „wielofunkcyjny ośrodek”, w którym można jeździć na deskorolce i rowerze, wyróżniający się swoim „Muzeum Górnictwa”, w którym dla wczasowiczów symuluje się wybuchy gazów kopalnianych.

W firmach praca jest coraz wyraźniej podzielona na prace wymagające wysokich kwalifikacji – badania, projektowanie, kontrola, koordynacja, komunikacja – i związanych z wdrażaniem całej wiedzy niezbędnej dla nowego, cybernetycznego procesu produkcji oraz na niewymagające kwalifikacji stanowiska związane z konserwacją i monitorowaniem tego procesu. Te pierwsze są nieliczne, bardzo dobrze opłacane i tak pożądane, że mniejszość, która je zagarnęła, nie pozwoli, by komukolwiek przypadły w udziale choćby najmniejsze ich okruszki. Tkwią ze swoją pracą w jednym uścisku udręki. Menadżerowie, naukowcy, lobbyści, badacze, programiści, deweloperzy, konsultanci i inżynierowie dosłownie *nigdy* nie przestają pracować. Nawet „chodzenie na dupy” zwiększa ich produktywność. „Najbardziej kreatywne przedsiębiorstwa to również te z największą ilością relacji intymnych”, teoretyzuje jeden HR-owy filozof. „Pracownicy

firmy – potwierdza inny z Daimler-Benz – są częścią jej kapitału (...) Ich motywacja, ich know-how, ich zdolność do innowacji i ich zorientowanie na klienta są surowcem innowacyjnych usług (...) Ich zachowania, ich społeczne i emocjonalne kompetencje są zyskującym na znaczeniu czynnikiem w ewaluacji ich pracy (...) Nie będzie ona już rozpatrywana z perspektywy przepracowanych godzin, lecz w oparciu o osiągnięte cele i jakość rezultatów. Oni są przedsiębiorcami”.

Z kolei wszystkie te zadania, których nie dało się zautomatyzować, tworzą kłębowisko stanowisk, które, choć nie mogą być zajęte przez maszyny, to mogą być zajęte przez byle człowieka – operatorów, magazynierów, sklepikarzy, monterów taśmowych, pracowników sezonowych i tak dalej. Ta elastyczna, niezróżnicowana siła robocza, która przechodzi od jednego zadania do następnego i nigdy nie pozostaje na dłużej w jednej firmie, nie może już zebrać się w siłę, jako że nigdy nie jest w centrum procesu produkcji; jest raczej prochem rozsypanym w jego licznych szczelinach, zajęta wypełnianiem dziur w tym, co jeszcze nie zostało zautomatyzowane. Pracownik tymczasowy jest pracownikiem, który już pracownikiem nie jest, który nie ma już *fachu*, tylko sprzedawane po drodze umiejętności. Jego pracą jest wyłącznie jego dyspozycyjność.

Na marginesach tego rdzenia efektywnych pracowników niezbędnych dla prawidłowego funkcjonowania maszyny rozciąga się – teraz

rezerwowa – większość pracowników, którzy z pewnością są przydatni dla płynności produkcji, ale niewiele ponadto; ci, którzy swoją bezczynnością prawie że stwarzają ryzyko sabotażu maszyny. Zagrożenie powszechnej demobilizacji jest widmem krążącym nad współczesnym systemem produkcji. Na pytanie „po co więc pracować?” nie każdy odpowiada tak, jak były zasiłkowiec, który napisał dla *Libération*: „Dla mojego dobrego samopoczucia. Musiałem się czymś zająć.” *Jest poważne ryzyko, że w końcu znajdziemy naszej bezczynności robotę.* Ta dryfująca populacja albo musi mieć zajęcie, albo być czymś zajęta. Nie odnaleziono jak na razie lepszej metody dyscyplinowania niż praca zarobkowa. Aby na jej łono przyciągnąć tych najbardziej opornych – tych, którzy poddadzą się tylko wtedy, gdy alternatywą dla pracy będzie śmierć głodowa lub zgnicie w więzieniu – konieczne będzie dalsze likwidowanie różnych „zdobyczy społecznych”, a w międzyczasie trwać będzie musiał boom na quasi-niewolnicze „usługi osobiste”: pokojówki, catering, masaże, pomoc domowa, sex-work, pielęgniarstwo, korepetytory, terapie rekreacyjne, pomoc psychologiczna i tym podobne. Wszystko to wraz z ciągłym podnoszeniem standardów bezpieczeństwa, higieny, zachowania, kultury i przyspieszającą przejściowością mody, które już same w sobie są podstawą zapotrzebowania na takie usługi. W Rouen parkometry ustąpiły miejsca „ludzkemu parkometrowi”: znudzonemu komuś na ulicy, kto

wystawia bilet parkingowy i wypożycza parasolkę, jeśli akurat pada.

Porządek pracy to porządek świata. Oczywiście jego ruiny wywołuje więc konwulsje na samą myśl o tym, co z niej wynika. Pracowanie ma dziś mniej wspólnego z *ekonomiczną* koniecznością produkowania towarów, niż z *polityczną* koniecznością wytwarzania producentów i konsumentów, aby za wszelką cenę zachować porządek pracy. W społeczeństwie, w którym produkcja stała się bezcelowa, wytwarzanie *samych siebie* staje się dominującym zawodem: jak stolarz, który, pozbawiony swojego warsztatu, w desperacji zaczyna heblować samego siebie. Stąd spektakl wszystkich tych młodych ludzi trenujących uśmiechanie się na swoją rozmowę kwalifikacyjną, wybielających zęby, żeby zrobić lepsze wrażenie, chodzących do klubów nocnych dla podbudowania poczucia przynależności do zespołu, uczących się angielskiego dla popchnięcia swojej kariery do przodu, rozwodzących się lub biorących ślub, by odbić się od dna, uczęszczających na kursy aktorskie, aby stać się *liderami* czy też kursy „samodoskonalenia”, by lepiej „zarządzać konfliktami” („najbardziej intymny »rozwój osobisty«”, twierdzi jakiś guru, „prowadzi do lepszej stabilności emocjonalnej, większej otwartości w relacjach, lepiej ukierunkowanej trzeźwości intelektualnej, a zatem lepszych wyników ekonomicznych”). Zgiełk tego małego świata, pełnego ludzików trenujących naturalność w oczekiwaniu na

zostanie wybranym, jest próbą uratowania porządku pracy przy pomocy etyki *mobilizacji*. Być zmobilizowaną, to traktować pracę nie jak aktywność, a jako *możliwość*. Jeśli osoba bezrobotna, która wyciąga sobie piercing, idzie do fryzjera i układa zawodowe „plany”, faktycznie pracuje nad swoją „zatrudnialnością” – jak to się mówi – to pokazuje tym swoje zmobilizowanie. Mobilizacja jest tym lekkim oderwaniem się od siebie; tym minimalnym oderwaniem się od tego, co nas stanowi; tym stanem dziwności, w którym jest się czymś, nad czym się pracuje i który umożliwia *sprzedanie siebie* zamiast swojej siły roboczej, bycie wynagradzanym nie za to, co się robi, ale za to, kim się jest – za swoje znakomite opanowanie kodów społecznych, za talenty w relacjach międzyludzkich, za swój uśmiech i prezencję. Oto najnowsza norma socjalizacji. Mobilizacja scala ze sobą te dwa przeciwstawne bieguny pracy: za jej pomocą uczestniczymy we własnym wyzysku i każde uczestnictwo jest wyzyskiwane. Idealnie jest wtedy, gdy sam sobie jesteś małą firmą, swoim własnym szefem i swoim własnym produktem. Niezależnie od tego czy pracujesz, czy nie, musisz zbierać kontakty, umiejętności, „sieć”, w skrócie: „kapitał ludzki”. Globalny nakaz mobilizacji pod najmniejszym pretekstem – raka, „terroryzmu”, trzęsień ziemi czy osób w kryzysie bezdomności – podsumowuje determinację panujących sił, by utrzymać rządy pracy po jej fizycznym zniknięciu. Obecny aparat produkcji jest więc z jednej strony

gigantyczną maszyną psychicznej i fizycznej mobilizacji, która wysysa energię z ludzi, którzy stali się nadmiarowi w stosunku do jego potrzeb; a z drugiej jest maszyną sortującą, która pozwala przetrwać spełniającym jej wymogi podmiotowościom i odrzuca wszystkie „jednostki zagrożone” – wszystkich tych, którzy ucieleśniają inny sposób używania swojego życia i tym samym stawiają mu opór. Z jednej strony powołuje się do życia widma, a z drugiej, pozwala się umierać żywym. Taka właśnie jest polityczna funkcja obecnego aparatu produkcji.

Organizowanie się poza pracą i przeciwko niej, kolektywne dezercerowanie z reżimu mobilizacji i demonstrowanie istnienia witalności i dyscypliny tkwiących w samej demobilizacji jest zbrodnią, której dogorywająca cywilizacja nam nie wybaczy. To tak naprawdę jedyny sposób, żeby przeżyć.

Krąg czwarty

„Prościej, fajniej, mobilniej,
bezpieczniej!”

Dość już mówienia o „mieście” i „wsi”, a już w ogóle o ich odwiecznej opozycji. Widok, który się przed nami roztacza, w ogóle ich nie przypomina – ani z daleka ani z bliska. To raczej jednolita urbanistyczna powłoka, bez formy i porządku; obszar opustoszały, nieokreślony i nieograniczony; światowe kontinuum muzealnych ścisłych centrów i parków krajobrazowych, blokowisk²⁶ i gospodarstw rolnych, stref przemysłowych i osiedli domków jednorodzinnych, wiejskich chat na wynajem²⁷ i sieciowych barów: metropolia. Oczywiście istniały miasta starożytne, tak samo jak średniowieczne czy nowożytne. Ale nie ma czegoś takiego jak miasto metropolitalne. Metropolia żąda aneksji wszystkich terytoriów. Wszystko tu współżyje, nie tyle geograficznie, co poprzez splątanie swoich sieci.

Właśnie dlatego, że miasto prawie zaniknęło, jest teraz fetyszyzowane – tak samo jak Historia. Byłe manufaktury w Lille stają się salami widowiskowymi, a zabetonowane centrum Le Havre jest na liście

światowego dziedzictwa UNESCO. Pekińskie hutongi, które kiedyś otaczały Zakazane Miasto, zostały rozebrane i zastąpione podróbkami umieszczonymi kawałek dalej w ramach ciekawostki. W Troyes stoją budynki z pustaków obudowane murem pruskim – pastisz przywodzący na myśl butiki w stylu wiktoriańskim w paryskim Disneylandzie. Dla historycznych centrów, które przez długi czas były zarzewiami buntu, w organizmie metropolii znalazło się miejsce – teraz są oddane turystyce i ostentacyjnej konsumpcji. Są wysepkami komercyjnej bajki, utrzymywanej jarmarkami i estetyką, ale także siłą. Duszący sentymentalizm jarmarków świątecznych jest okupiony stale rosnącą liczbą ochroniarzy i patroli. Kontrola wspaniale wtapia się w komercyjny krajobraz, pokazując swoje autorytarne oblicze każdemu, kto zechce je zobaczyć. To pomieszczone czasy, czasy mieszania się muzyki, pałek teleskopowych i waty cukrowej; nadzór policyjny dodaje tu tylko uroku!

Ten posmak autentyczności-w-cudzystwie i idąca z nią w parze kontrola towarzyszy drobnomieszczanstwu w ich kolonizacji blokowisk. Wyparci ze ścisłych centrów, udają się tam, aby odnaleźć „życie osiedlowe” którego próżno im było szukać w prefabrykowanych domkach jednorodzinnych²⁸. Przeganiając z nich biednych, samochody i imigrantów, sprawiając, by były *schludne* i usuwając wszystkie zarazki, rozwalają w drobny mak wszystko to, czego w nich szukali. Na miejskich billboardach śmieciarz i ochroniarz

podają sobie ręce, a slogan głosi: „Montauban, czyste miasto”.

Ta sama przyzwoitość, która zmusza urbanistów do tego, by nie mówili już o „mieście”, które zniszczyli, ale o „obszarze zurbanizowanym”²⁹, powinna skłonić ich również do niemówienia już o „wsi”, której też już nie ma. To, co zajmuje jej miejsce, to krajobraz dla zestresowanych, wykorzenionych mas; przeszłość, którą łatwo teraz zainscenizować, gdy liczba chłopów tak zmalała. To kampania marketingowa wdrożona na „terytorium”, gdzie wszystko musi być albo wyceńnione, albo zyskać status dziedzictwa narodowego. Wszędzie, aż po najbardziej odległe kościelne dzwonnice, panuje ta sama lodowata pustka.

Metropolia jest równoczesną śmiercią miasta i wsi, na skrzyżowaniu, gdzie przecinają się wszystkie klasy średnie, w tym ośrodku klasy środka, który – począwszy od „ucieczki ze wsi”³⁰ w ramach „peryurbanizacji”³¹ – rozciąga się w nieskończoność. Oszklenie światowego terytorium jest godne cynizmu właściwego współczesnej architekturze. Licea, szpitale i mediateki są różnymi wariantami tego samego motywu: przejrzystości, neutralności, jednolitości. Masywne, płynne budynki, przy projektowaniu których nie trzeba było wiedzieć, co będą mieściły, a które *mogłyby znajdować się i tutaj*, i gdziekolwiek indziej. Co można zrobić ze wszystkimi nowiutkimi biurówkami przy La Défense, La Part Dieu czy Euralille? Spalić i tyle³². Szkocki

podróżnik poświadcza o wyjątkowym splendorze mocy płomieni po tym, jak w maju 1871 roku powstańcy spalili paryski ratusz: „Nigdy nie wyobrażałem sobie nic piękniejszego: to znakomite. Ludzie Komuny są przerażającymi szubrawcami, temu nie zaprzeczę; ale cóż za artyści! I nie byli nawet świadomi swego własnego dzieła! (...) Widziałem ruiny Amalfi skąpane w lazurowych falach Morza Śródziemnego, ruiny świątyni Tung-hoor w Punjabie; widziałem Rzym i wiele innych rzeczy: nic jednak nie dorównuje temu, co własnymi oczyma ujrzałem dzisiejszej nocy.”

W metropolitalnej plątaninie pozostaje uwięzionych kilka fragmentów miasta i kilka pozostałości wsi, ale żywe są jedynie dzielnice relegacji. Paradoks polega na tym, że miejsca, które sprawiają wrażenie najbardziej niezamieszkiwalnych, są jedynymi, w których nadal w jakiś sposób się mieszka. W starym zeszkłotowanym baraku zawsze będzie więcej życia niż w tych luksusowych apartamentach, do których można tylko wstawić swoje meble, udoskonalić wystrój i czekać na kolejną przeprowadzkę. W wielu megalopolis slumsy są ostatnimi żyjącymi i nadającymi się do zamieszkiwania miejscami – i najbardziej zabójczymi, co nie jest szczególnie zaskakujące. Są przeciwieństwem elektronicznego wystroju światowej metropolii. Miastasympialnie na północnych przedmieściach Paryża, opuszczone przez polujące na domki z ogródkiem drobnomieszczactwo, a przywrócone do życia przez

masowe bezrobocie, płoną jaśniejszym światłem niż Dzielnica Łacińska³³ – bijącym zarówno ze słów, jak i ognia.

Pożoga listopada 2005 roku nie była rezultatem ekstremalnego wywłaszczenia, jak się to często przedstawiało – przeciwnie, wynikała z pełnego zawłaszczenia terytorium. Jasne, można palić samochody, bo jest się wkurwionym, ale całomiesięczne rozniecanie zamieszek i ciągłe trzymanie policji w szachu wymaga wiedzy o tym, jak się organizować, porozumienia i *współudziału*. Do tego trzeba perfekcyjnie znać teren, mieć wspólny język i wroga. Ogień rozprzestrzeniał się pomimo kilometrów i tygodni. Pierwszym płomieniem odpowiadały kolejne – tam, gdzie najmniej się ich spodziewano. Plotek nie da się podsłuchać³⁴.

Metropolia jest terenem nieustannego konfliktu o niskiej intensywności³⁵; zdobycie Basry³⁶, Mogadiszu³⁷ czy Nablusu³⁸ wyznacza jedynie jego punkty kulminacyjne. Podczas gdy miasta były przez długi czas miejscami omijanymi przez wojsko – co najwyżej się je oblegało – metropolia jest w pełni kompatybilna z wojną. Konflikt zbrojny to jedynie moment w jej ciągłej rekonfiguracji. Bitwy prowadzone przez światowe potęgi przypominają policyjną robotę w czarnych dziurach metropolii, którą ciągle trzeba zaczynać od nowa – „czy to w Burkina Faso³⁹, Południowym Bronxie⁴⁰, w Kamagasaki⁴¹, Chiapas⁴² czy La Courneuve⁴³.” Celem „interwencji” jest nie tyle

zwycięstwo, czy nawet przywrócenie porządku i pokoju, co kontynuacja zawsze rozpoczętego projektu *zabezpieczania*. Wojny nie można już wyizolować w czasie – zamiast tego rozszczepia się ona w serię wojskowych i policyjnych mikro-operacji mających zagwarantować bezpieczeństwo.

Policja i wojsko ewoluują równolegle i idą ze sobą ramię w ramię: kryminolog żąda, aby prewencja przeorganizowała się w małe, wyspecjalizowane i mobilne oddziały; wojsko, kolebka metod dyscyplinarnych, kwestionuje swoją hierarchiczną organizację. Oficer NATO wdraża do swojego batalionu grenadierów „metodę partycypacyjną, w ramach której wszyscy uczestniczą w analizie, przygotowaniu, wykonaniu i ewaluacji akcji. Plan jest całymi dniami rozważany i rewidowany w trakcie treningów i z uwzględnieniem najnowszych informacji (...). Nic tak nie spaja zespołu i nie podbudowuje jego morale jak grupowe planowanie.”

Siły zbrojne nie tylko przystosowują się do metropolii – również ją kształtują. W ten sposób izraelscy żołnierze od czasu bitwy pod Nablusem stali się projektantami wnętrza. Zmuszeni przez palestyńskich partyzantów do opuszczenia ulic, które stały się dla nich zbyt niebezpieczne, nauczyli się przemieszczać w pionie i w poziomie przez miejskie konstrukcje, wybijając w sufitach i ścianach dziury. Oficer Sił Obronnych Izraela, absolwent filozofii, tłumaczy: „Wróg postrzega przestrzeń w tradycyjny, klasyczny sposób, a ja nie

zgadzam się na podążanie za taką interpretacją i wpadanie w jego pułapki. (...) Chcę go zaskoczyć! To jest istota wojny. Muszę wygrać. (...) Wybrałem więc metodologię, która przeprowadzi mnie przez ściany. (...) Pozwoli być jak robak, który idzie naprzód, zjadając wszystko, co znajdzie na swojej drodze.”

Przestrzeń miejska to więcej niż tylko teatr konfliktu, to również jego narzędzie. Wszystko to przywodzi na myśl radę, tym razem dla stronnictwa insurekcyjnego, której udzielił Blanqui⁴⁴. Zalecił on przyszłym powstańcom Paryża, żeby w ramach obrony swoich pozycji przejęli domy stojące przy zabarykadowanych przez nich ulicach; żeby przebili się przez ich mury, by je ze sobą połączyć; żeby zniszczyli schody na pierwsze piętro i wybili dziury w podłodze, by móc obronić się przed potencjalnymi atakującymi; żeby drzwiami zabarykadowali okna i zamienili każde piętro w stanowisko strzeleckie.

Metropolia to nie tylko zurbanizowany klaster, ostateczne zderzenie miasta z wsią – to również przepływ bytów i rzeczy. *Prąd*, który przenika przez wszystko, przechodzi przez sieć światłowodową, przez trakcje kolei dużych prędkości [TGV], satelity i kamery monitoringu: aby ten świat nigdy nie przestał biec ku swojej zagładzie. *Prąd*, który chciałby wszystko porwać swoją beznadziejną mobilnością, który *mobilizuje* wszystkich. W metropolii atakują cię informacje i wiele

wrogich sił; tu nie pozostało nic, jak tylko biec; tu trudem staje się czekanie, nawet na kolejny wagon metra.

Namnożenie środków transportu i komunikacji bez przerwy odrywa nas od *tu* i *teraz*, przez ciągłą pokusę bycia gdzieś indziej: złap pociąg dużych prędkości, ekspres regionalny [RER] czy telefon – żeby być już *tam*. Jedyne, co taka mobilność wywołuje, to wykorzenienie, izolację i wygnanie. Nikt by tego nie zniósł, gdyby z tą mobilnością zawsze nie wiązało się zabieranie ze sobą *prywatnej przestrzeni*, pod ręcznego wnętrza. Prywatna bańka nie pęka, a raczej płynie z prądem. To nie koniec *cooconingu*⁴⁵, tylko wprowadzenie go w ruch. Od dworców, przez galerie handlowe i banki inwestycyjne, po hotele – wszędzie panuje ta tak banalna obcość, tak bardzo nam znajoma, że koniec końców nie pozostaje nic bardziej swojskiego od niej. Bujność metropolii jest przypadkową mieszanką konkretnych nastrojów, które można bez końca rekombinować. Centra miast nie reklamują się jako identyczne, ale przedstawiają się jako oferty oryginalnych nastrojów, pośród których ewoluujemy, wybierając jeden, porzucając drugi – jak na swego rodzaju egzystencjalnych zakupach, gdzie decydujemy pomiędzy stylami barów, ludzi, dizajnów albo *playlistami* na iPodzie. („Z moją empetrójką jestem panem mojego świata.”) Aby przetrwać ten otaczający nas uniformizm, naszym jedynym wyjściem pozostaje bez przerwy rekonstruować nasz świat wewnętrzny, jak dziecko, które wszędzie lepi ten

sam zamek z piasku; jak Robinson, który odtwarza swój kupiecki świat na bezludnej wyspie – z tą różnicą, że naszą bezludną wyspą jest sama cywilizacja i że nas, nieustannie na niej lądujących, są miliardy.

Właśnie dlatego, że jest organizacją przepływów, metropolia jest jedną z najbardziej wrażliwych formacji, jakie kiedykolwiek stworzył człowiek. Elastyczna, subtelna, lecz wrażliwa. Wystarczy nagle zamknięcie granic z powodu szalejącej epidemii, braki w zaopatrzeniu czy zorganizowane blokady arterii komunikacyjnych, a cała scenografia się wali i nie da się już zamaskować ciągle nawiedzających ją scen rzezi. Świat by tak nie pędził, gdyby nie musiał ciągle uciekać przed swoim upadkiem.

Jej sieciowa struktura, cała technologiczna infrastruktura węzłów i połączeń, i zdecentralizowana architektura są próbami zabezpieczenia metropolii przed jej nieuchronnymi awariami. Internet musi przetrwać atak jądrowy. Permanentna kontrola przepływu informacji, ludzi i produktów musi gwarantować metropolitalną mobilność i identyfikowalność naszych śladów oraz zapewniać, że nigdy nie zabraknie palety towarów w magazynie, że nikt nigdy nie zapłaci skradzionym banknotem i że żaden terrorysta nigdy nie znajdzie się w samolocie. Wszystko dzięki chipowi RFID, biometrycznemu paszportowi i profilowaniu DNA.

Ale metropolia wytwarza również narzędzia swojego własnego zniszczenia. Amerykański ekspert

do spraw bezpieczeństwa tłumaczy porażkę w Iraku zdolnością partyzantów do użycia nowych sposobów komunikacji na swoją korzyść. Amerykańska inwazja nie wyeksportowała tam demokracji, tylko swoje cybernetyczne sieci; przywiozła ze sobą jedną z broni przyczyniających się do własnej klęski. Upowszechnienie się telefonów komórkowych i punktów dostępu do internetu dało partyzantom bezprecedensowe środki do organizowania się i możliwość stania się nieuchwytnymi celami.

Każda sieć ma swoje słabe punkty – węzły, które należy przeciąć⁴⁶, aby zatrzymać krążenie, aby implodować sieć. Dowiodła tego niedawna, największa w Europie przerwa w dostawie prądu: wystarczył pojedynczy wypadek z wysokonapięciowym przewodem i spora część kontynentu pograżyła się w ciemnościach⁴⁷. *Pierwszym* gestem, który pozwala, by w środku metropolii coś się wydarzyło, żeby otworzyły się nowe możliwości, jest zatrzymanie jej *perpetuum mobile*. To właśnie zrozumieli tajscy rebelianci, gdy niszczyli stacje transformatorowe. To rozumieli przeciwnicy CPE, gdy blokowali uniwersytety, a później próbowali zablokować całą gospodarkę. Rozumieli to również strajkujący w 2002 amerykańscy dokerzy, gdy dziesięć dni blokowali główne porty na Zachodnim Wybrzeżu, żeby uratować trzysta miejsc pracy. Amerykańska gospodarka w takim stopniu opiera się na przepływie towarów z Azji, że koszt tej blokady wynosił ponad

miliard dolarów dziennie. Dziesięć tysięcy osób może wstrząsnąć największą potęgą gospodarczą świata. Według pewnych „ekspertów”, jeśli ruch przetrwałby jeszcze miesiąc, byłibyśmy świadkami „powrotu recesji w Stanach Zjednoczonych i gospodarczego koszmaru w Azji Południowo-Wschodniej”.

Krąg piąty

„Mniej rzeczy, więcej więzi!”

Trzydzieści lat masowego bezrobocia, „kryzysu”, słabnącego wzrostu, a oni nadal chcą, żebyśmy wierzyli w ekonomię. Trzydzieści lat przerywane, co prawda, kilkoma iluzorycznymi antraktami: antraktem lat 1981-83 – złudzenia, że lewicowy rząd może uszczęśliwić ludzi; antraktem lat tłustych (1986-89) – kiedy wszyscy mieliśmy stać się bogaczami, biznesmenami i graczami giełdowymi; antraktem internetu (1998-2001), w którym to wszyscy mieliśmy znaleźć wirtualną pracę dzięki sile połączenia, kiedy wielokolorowa, ale zjednoczona Francja – Francja wielokulturowa i oświecona – przywoziłaby trofeum z każdych mistrzostw świata. Ale oto jesteśmy: wyczerpaliśmy wszystkie nasze zapasy złudzeń, osiągnęliśmy dno i jesteśmy splukani, jeśli nie w długach.

Po pewnym czasie zrozumieliśmy: to nie ekonomia jest w kryzysie, ekonomia *jest* kryzysem. Pracy nie brakuje, pracy *jest* za dużo. Ogólnie rzecz biorąc, to nie kryzys, a wzrost nas przybija. Musimy przyznać, że litania notowań giełdowych porusza nas mniej więcej tak samo jak msza po łacinie. Na szczęście do tych

wniosek doszło sporo z nas. I nie mówimy tu o tych, którzy żyją z rozmaitych przekrętów, którzy handlują tym czy tamtym, albo którzy od dziesięciu lat żyją na zasiłku dla bezrobotnych. Nie mówimy też o tych wszystkich, którzy nie potrafią już się utożsamiać ze swoją pracą i którzy żyją dla swojego czasu wolnego. Nie mamy też na myśli tych, których odstawiono na boczny tor, którzy chowają się po kątach – wszystkich tych, którzy robią najmniej, a których jest najwięcej. Ani też tych, których uderzyła ta dziwaczna *masowa obojętność*, wyraźna i wśród emerytów, i w cynicznie wyzyskiwanej mobilnej sile roboczej. Nie mówimy o nich wszystkich, chociaż musieli oni tak czy inaczej dojść do tych samych wniosków. Mówimy o wszystkich tych krajach – tych całych kontynentach – które utraciły swoją ekonomiczną wiarę bo widziały przemakającego po niebie Boeinga MFW; bo miały do czynienia z Bankiem Światowym. Nie ma w tym niczego z kryzysu powołań, który powoli dosięga Zachodnich ekonomii. To, co się dzieje w Gwinei, Rosji, Argentynie i Boliwii, to brutalna i trwała dyskredytacja tej religii i jej duchowieństwa. „Co to jest: tysiąc ekonomistów MFW leżących na dnie morza? – To dobry początek”, żartuje się w Banku Światowym. Albo weźmy inny, rosyjski żart: „Spotyka się dwóch ekonomistów. Jeden pyta drugiego: »Rozumiesz co tu się dzieje?« Drugi odpowiada: »Już ci tłumaczę.«, na co pierwszy mówi: »Nie,

nie, z wytłumaczeniem nie mam problemu, też jestem ekonomistą. Pytam, czy ty to rozumiesz?»

Nawet sami duchowni udają sprzeciw i krytykę dogmatów. Ostatni prężny nurt tak zwanych „nauk ekonomicznych”, który zupełnie poważnie nazywa siebie „ekonomią nieautystyczną”⁴⁸, zajmuje się demaskowaniem uzurpacji, podstępnych sztuczek i fałszywych wskaźników naukowych, których jedyną namacalną rolą jest szastanie nimi – tak, jak macha się monstrancją – w rytm tyrad tych, którzy dominują; aby chociaż przyozdobić szczyptą ceremonii ich wezwania do posłuszeństwa i w końcu, jak to religie mają w zwyczaju, *dostarczyć wyjaśnień*. Bo ogólne nieszczęście staje się nieznośne, jak tylko pokaże, jakie jest naprawdę: bez przyczyny czy powodu.

Nikt nigdzie już nie szanuje pieniędzy: ani ci, którzy je mają, ani ci, którym ich brakuje. Na pytanie o to, kim chcą zostać w przyszłości, dwadzieścia procent młodych Niemców odpowiada: „artystą”. Praca nie jest już oczywistym elementem ludzkiej kondycji, który trzeba po prostu znosić. Księgowości firm przyznają, że nie wiedzą, skąd tak naprawdę bierze się wartość. Zła reputacja rynku już dawno by go pogrzebała, gdyby nie gorliwość i zasoby jego apologetów. Postęp stał się synonimem katastrofy. Ze świata ekonomii wszystko ucieka, jak z ZSRR za Andropowa⁴⁹. Każdy, kto ma choć minimum wiedzy o ostatnich latach ZSRR, w tych wszystkich wezwaniach do inicjatywy ze strony

naszych przywódców, we wszystkich ich natchnionych opowieściach o przyszłości, w których już zaczęliśmy się gubić i we wszystkich ich wyznaniach wiary w „reformowanie” wszystkiego po kolei z łatwością usłyszy pierwsze pęknięcia w strukturze Muru. Upadek bloku wschodniego nie przypieczętował zwycięstwa kapitalizmu, poświadczył jedynie o upadku jednej z jego form. Co więcej, śmierć ZSRR nie była dziełem zbuntowanych ludzi, a konwertującej się nomenklatury⁵⁰. Ogłoszenie końca socjalizmu przede wszystkim umożliwiło pewnej facji klasy rządzącej uwolnienie się od anachronicznych powinności, które wcześniej wiązały ją z ludźmi. Przejęła *prywatną* kontrolę nad tym, co już przecież kontrolowała, tyle że w imieniu wszystkich. „Skoro oni udają, że nam płacą, to my udawajmy, że pracujemy.”, mawiano w fabrykach. „No dobra, to przestaniemy udawać!”, odpowiedziała oligarchia. I tak jednym przypadły w udziale surowce, infrastruktura fabryczna, kompleks militarno-przemysłowy, banki, kluby nocne, a innym nędza i emigracja. Tak jak przestano wierzyć w Ekonomię w ZSRR pod rządami Andropowa, tak przestaje się w nią wierzyć we francuskich salach konferencyjnych, w warsztatach, w biurach. „Nie przejmuj się!”, odpowiadają szefowie i rządzący, którzy nie zadają sobie już trudu, aby złagodzić „twarde prawa ekonomii” i przenoszą produkcję w środku nocy, a o zamknięciu fabryki personelowi dają znać wczesnym rankiem; którzy nie wahają się już wysłać oddziału

antyterrorystycznego [GIGN] do rozbicia strajku – jak to miało miejsce w przypadku strajku w SNCM⁵¹ czy podczas okupacji sortowni w Rennes w zeszłym roku. Cała mordercza działalność obecnej władzy polega z jednej strony na zarządzaniu tą ruiną, a z drugiej na kładzeniu fundamentów pod „nową ekonomię”.

A jednak przyzwyczailiśmy się do ekonomii. Przez pokolenia dyscyplinowano nas, pacyfikowano i robiono z nas naturalnie produktywne i chętnie konsumujące *podmioty*. A teraz dociera do nas to, o czym tak bardzo staraliśmy się zapomnieć: że *ekonomia to polityka*; i że ta polityka jest dzisiaj polityką selekcji w obrębie ludzkości, której większość stała się zbędna. Od Colberta⁵², przez Napoleona III⁵³, po de Gaulle’a⁵⁴ państwo zawsze traktowało ekonomię jako politykę, nie mniej zresztą niż burżuazja – która na niej zyskuje, i nie mniej niż proletariusze – którzy stawiają jej czoła. Tylko drobnomieszczaństwo – ta dziwna pośrednia warstwa populacji, ten osobliwy, bezsilny zbiór wszystkich, którzy *nie obierają żadnej strony* – zawsze udawało, że wierzy w prawdziwość ekonomii, bo tylko tak mogło zachować swoją neutralność. We Francji na tę nie-klasę składają się wszyscy drobni handlarze, drobni przedsiębiorcy, pomniejsi urzędnicy, kierownicy, profesorowie, dziennikarze i wszyscy inni wszelkiego rodzaju pośrednicy. To oni są tą społeczną galaretką złożoną z masy wszystkich tych, którzy chcieliby po prostu spędzić swoje prywatne życie z dala od Historii

i jej zawirowań. To bagno jest naturalnym orędownikiem fałszywej świadomości, gotowym za wszelką cenę przemykać oczy na szalejącą wokół niego wojnę. We Francji każde wyklarowanie się frontu jest naznaczone wynalezieniem nowej mody. Przez ostatnie dziesięć lat mieliśmy ATTAC z jej nieprawdopodobnym podatkiem Tobina⁵⁵ – którego ustanowienie wymagałoby ni mniej, ni więcej, jak utworzenia rządu światowego – jej obronę „realnej gospodarki”⁵⁶ przed rynkami finansowymi i jej wzruszającą nostalgię za państwem. Ta komedia trwała, ile trwała i skończyła jako zwykła farsa. Jedna moda przeminęła i już mamy kolejną: „dewzrost”⁵⁷. ATTAC, ze swoimi publicznymi kursami edukacyjnymi, próbowała ocalić ekonomię jako *naukę*, za to dewzrost jest próbą ocalenia jej jako *moralności*. Jedyna alternatywa dla zbliżającej się wielkimi krokami apokalipsy: redukcja wzrostu gospodarczego. Mniej konsumuj i mniej produkuj. Stań się szczególnie skromna. Jedz ekologicznie, jeźdź na rowerze, rzuć palenie i myśl, co kupujesz. Zadowolaj się tym, co niezbędne. Dobrowolna prostota. „Odkryj na nowo prawdziwe bogactwo kwitnącej otwartości⁵⁸ relacji społecznych w zdrowym świecie”. „Nie eksploatuj naszego naturalnego kapitału”. „Zmierzaj w kierunku »zdrowej gospodarki«”. „Zapobiegij regulowaniu chaosem”. „Nie generuj kryzysów społecznych, które zagrażałyby demokracji i humanizmowi”. W skrócie: *stań się ekonomiczny*. Wróć do gospodarki swojego tatusia, do

złoty czasów drobnomieszczaństwa: lat 50. „Kiedy jednostka staje się dobrą gospodarną osobą, jej własność idealnie spełnia swoją rolę: pozwala jej cieszyć się własnym życiem w zaciszu publicznej egzystencji lub w jej własnym prywatnym schronieniu”.

Grafik w ręcznie dzierganym swetrze pije owocowy koktajl w towarzystwie przyjaciół na tarasie etnicznej kawiarni. Są rozmowni i serdeczni, trochę żartują, starają się nie być ani za głośni, ani za cisi, po prostu błogo uśmiechają się do siebie nawzajem: tacy cywilizowani. Później część z nich będzie pielęgniarkami w lokalnym ogródku, podczas gdy inni zajmą się toczeniem na kole, zenem czy zaborą się za film animowany. Podzielają słusze poczucie kreowania nowej ludzkości, najmądrzejszej, najbardziej wyrafinowanej – ostatniej. I mają rację. Ruch dewzrostu i Apple ciekawie zgadzają się co do cywilizacji przyszłości. Pomysł powrotu do minionej ekonomii pierwszego jest dla drugiego wygodną zasłoną dymną, za którą może kroczyć naprzód ze swoją ideą wielkiego skoku technologicznego. Bo w Historii nie istnieje coś takiego jak powrót; nawoływanie do powrotu do przeszłości jest wyłącznie odbiciem jednej z form świadomości tych czasów i najbardziej sztandarowym hasłem dysydencjonalnych reklamodawców czasopisma *Casseurs de Pub*⁵⁹. Wynalazcy zerowego wzrostu – Klub Rzymski z 1972⁶⁰ – sami byli grupą przemysłowców i funkcjonariuszy

publicznych opierających się na pracy naukowej cybernetyków z MIT.

Ta zbieżność nie jest bynajmniej przypadkowa. Jest częścią przymusowego marszu ku odciążeniu ekonomii. Kapitalizm dla własnych korzyści zdeintegrował wszystko, co pozostało z więzi społecznych, a teraz przystępuje do ich fundamentalnej odbudowy *na własnych zasadach*. Obecne metropolitalne życie towarzyskie [*sociabilité*] jest jej inkubatorem. Tak samo spustoszył też światy naturalne, a teraz podejmuje się szalonego pomysłu zrekonstruowania ich jako kontrolowanych środowisk, wyposażanych w adekwatne czujniki. Z tą nową ludzkością koresponduje nowa ekonomia, która nie chciałaby już być odrębną sferą egzystencji, ale samą jej tkanką, materią relacji międzyludzkich; nową definicją pracy jako pracy nad sobą i Kapitału jako kapitału ludzkiego; nową ideą produkcji jako produkcji dóbr relacyjnych i konsumpcji jako konsumpcji sytuacji; a przede wszystkim nową ideą wartości, która obejmowałaby wszystkie cechy bytów. Ta rodząca się „bioekonomia” wyobraża sobie planetę jako zamknięty system, którym należy zarządzać, i utrzymuje, że kładzie fundamenty pod nową naukę, która zintegruje ze sobą wszystkie parametry życia – współczesnego życia. To nie przypadek, że dewzrost jest nauką, która może sprawić, że pewnego dnia będziemy tęsknić za starymi, dobrymi czasami oszukańczych

wskaźników; kiedy PKB służyło za miarę ludzkiego szczęścia, ale przynajmniej nikt w to nie wierzył.

„Przewartościowanie pozaekonomicznych aspektów życia” to jednocześnie slogan przewodni dewroztu i program reformy Kapitału. Ekowioski, monitoring, duchowość, biotechnologie i otwartość należą do tego samego formującego się „paradygmatu cywilizacyjnego” – paradygmatu totalnej, oddolnie wytworzonej ekonomii. Jego intelektualna matryca to nic innego jak cybernetyka, nauka o systemach – to znaczy o *ich kontroli*. Aby ostatecznie narzucić ekonomię oraz jej etykę pracy i chciwości, w XVII wieku konieczne było internowanie i likwidacja całej fauny próżniaków, żebraków, czarownic, szaleńców, lubieżników i innych biedaków bez wyznania – całej tej ludzkości, której samo istnienie przeczyło porządkowi interesowności i wstrzeмиężliwości. Nowa ekonomia nie może powstać bez podobnej selekcji obiektów i przestrzeni odpowiednich dla transformacji. Wciąż zapowiadany chaos będzie szansą albo dla tej bezlitosnej selekcji, albo dla naszego zwycięstwa nad tym ohydny projekt.

Krąg szósty

„Środowisko jest wyzwaniem dla przemysłu”

Ekologia jest odkryciem roku. Przez trzydzieści lat zostawialiśmy ją Zielonym, głośno śmiejąc się z niej w niedzielę, żeby już w poniedziałek ciężko nad nią wzdychać, a teraz nas dogania. Wciąż jest na fali jak letni hit, bo mamy dwadzieścia stopni na plusie w grudniu. Jedna czwarta gatunków ryb zniknęła z oceanu, a reszcie nie pozostało wiele więcej czasu. Alert o ptasiej grypie: obiecuje się odstrzelić w locie setki tysięcy migrujących ptaków. Stężenie rtęci w matczym mleku jest dziesięć razy wyższe od tego, które jest dopuszczalne dla mleka krowiego. I te wargi, które puchną gdy wgryzę się w jabłko – a przecież było z targowiska. Najprostsze gesty stały się toksyczne. Umieramy w wieku 35 lat z powodu „przewlekłej choroby”, z którą sobie radzimy, tak jak radzimy sobie ze wszystkim innym. Trzeba było wyciągnąć odpowiednie wnioski, zanim skończyliśmy w pawilonie B centrum opieki paliatywnej.

Spójrzmy prawdzie w oczy: cała ta „katastrofa”, o której tak się nam krzyczy, nas nie dotyka; a przynajmniej nie do czasu, aż uderzy w nas jedną ze swoich przewidywalnych konsekwencji. Może nas dotyczyć, ale nas nie dotyka. I to właśnie jest katastrofą.

Nie ma czegoś takiego jak „katastrofa ekologiczna” [*catastrophe environnementale*] – jest katastrofa, która jest środowiskiem [*l'environnement*]. Środowisko jest tym, co pozostaje człowiekowi, gdy już wszystko stracił. Ci, którzy żyją na osiedlu, na ulicy, w dolinie, na wojnie, w warsztacie, nie mają „środowiska”, wzrastają w świecie wypełnionym przez obecności, niebezpieczeństwa, przyjaciół, wrogów, momenty życia i śmierci i wszelkiego rodzaju byty. Taki świat ma swoją konsekwencję, która zmienia się wraz z intensywnością i jakością więzi, które nas przywiązują do wszystkich tych bytów, do wszystkich tych miejsc. Środowisko mamy tylko my, dzieci ostatecznego wywłaszczenia, wygnańcy ostatniej godziny, którzy przychodzimy na świat w betonowych sześcianach, zbieramy owoce w supermarketach i oglądamy echa świata w telewizji. Tylko my możemy oglądać własną zagładę tak, jakby to była zwykła zmiana klimatu; oburzać się ostatnimi postępami katastrofy i cierpliwie je archiwizować.

To, co zamarło w środowisku, to stosunek do świata oparty na zarządzaniu, czyli na wyobcowaniu. Taki stosunek do świata, w którym nie składamy się w równym stopniu z szelestu drzew, z zapachu smażonego

jedzenia unoszącego się w budynku, z płynącej wody, ze zgiełku szkolnych podwórek czy wilgoci letnich wieczorów. Taki stosunek do świata, w którym jestem ja i moje środowisko, które mnie otacza, nigdy mnie nie konstytuując. Staliśmy się sąsiadami na spotkaniu globalnego kondominium⁶¹. Trudno sobie wyobrazić bardziej kompletne piekło.

Żadne materialne otoczenie nigdy nie zasłużyło na miano „środowiska”, z wyjątkiem być może obecnej metropolii. Zdigitalizowany głos komunikatów, XXI-wiecznie gwiżdżący tramwaj, niebieskawe światło latarni w kształcie gigantycznej zapałki, przechodnie przebrani za nieudane manekiny, cichy obrót kamery monitoringu, klarowne dzwonienie bramek metra, kas supermarketów, biurowych czytników kart identyfikacyjnych, elektroniczna atmosfera kafejki internetowej, obfitość ekranów plazmowych, dróg ekspresowych i lateksu. Żadna wcześniejsza sceneria nie radziła sobie tak dobrze bez przemierzających ją dusz. Żadne wcześniejsze otoczenie nie było tak automatyczne. Żaden wcześniejszy kontekst nie był tak obojętny i nie wymagał w zamian podobnej obojętności jako warunku przetrwania. Środowisko jest ostatecznie tylko tym: charakterystycznym dla metropolii stosunkiem do świata, który rzutuje na wszystko, co jej umyka.

Sytuacja jest następująca: naszych ojców zatrudnili do zniszczenia tego świata, a teraz chcieliby, byśmy pracowali przy jego odbudowie – i przynosili jeszcze

większe zyski niż wcześniej. Chorobliwa ekscytacja, która już teraz napędza dziennikarzy i reklamodawców z każdym nowym dowodem na globalne ocieplenie, odsłania stalowy uśmiech nowego zielonego kapitalizmu; tego, który zapowiadał się od lat 70., którego w kółko oczekiwaliśmy i który nigdy nie nadszedł. Cóż, oto i jest! To ekologia, to rozwiązania alternatywne, to ratowanie planety! Nie ulega wątpliwości: duch czasu jest zielony; środowisko będzie fundamentem ekonomii politycznej XXI wieku. Na każdy wybuch katastrofizmu przypada nowy strumień „rozwiązań industrialnych”. By zatrzymać globalne ocieplenie, wynalazca bomby wodorowej, Edward Teller, proponuje rozpylenie w stratosferze milionów ton metalicznego pyłu. NASA, sfrustrowana, że musi odłożyć swój pomysł tarczy antyrakietowej na półkę w muzeum fantasmagorii zimnej wojny, obiecuje umieszczenie ogromnego zwierciadła poza orbitą księżyca by ochronić nas przed obecnie zgubnym promieniowaniem słonecznym. Albo inna wizja przyszłości: zmotoryzowana ludzkość, jeżdżąca na bioetanolu od Sao Paulo po Sztokholm – marzenie producenta zbóż z Beauce, bo w końcu jedyne, co to implikuje, to przekształcenie wszystkich ziem uprawnych na naszej planecie w pola soi i buraków cukrowych. Wizje ekologicznych samochodów, czystej energii i konsultacji środowiskowych bezproblemowo koegzystują z najnowszymi reklamami Chanel na błyszczących stronach magazynów opiniotwórczych.

Środowisko ma tę niezrównaną zaletę, że jest – jak się nam mówi – pierwszym *globalnym problemem* stojącym przed ludzkością. *Problemem globalnym*, co oznacza, że rozwiązać go są w stanie tylko ci, którzy są globalnie zorganizowani. A przecież wiemy, kim oni są. To grupy, które od prawie stu lat są awangardą katastrofy i są zdeterminowane, aby nią pozostać za niską cenę zmiany logo. To, że EDF⁶² jest na tyle bezczelne, by przywrócić swój program atomowy jako *nowe rozwiązanie* światowego kryzysu energetycznego, wiele mówi o tym, jak bardzo nowe rozwiązania przypominają stare problemy. Od państwowych sekretariatów po zaplecza alternatywnych kawiarni, obawy są teraz wyrażane tymi samymi słowami; tymi samymi, jakimi zawsze były. Chodzi o to, żeby się *zmobilizować*. Nie aby odbudować kraj jak po wojnie, nie dla Etiopczyków jak w latach 80., nie dla zatrudnienia jak w latach 90. Nie, tym razem dla środowiska. Ono ci za to podziękuje. Al Gore⁶³, ekologia à la Hulot⁶⁴ i dewzrost ustawiają się w rzędzie odwiecznych wielkich dusz Republiki, aby odegrać swoją rolę w reanimacji maluczkich lewicy i wskrzeszeniu dobrze znanego idealizmu młodzieży. Z dobrowolnym zaciskaniem pasa na sztandarach, ochotniczo pracują, aby dostosować nas do „ekologicznego stanu wyjątkowego, który nadchodzi”. Okrągła i oślizgła masa ich winy zwała się na nasze zmęczone ramiona i chciałaby popchnąć nas do uprawy własnego ogródka, sortowania naszych

odpadów i kompostowania pozostałości makabrycznej uczty, na którą i na której byliśmy wychowywani.

Poradzenie sobie z wycofaniem energii atomowej, nadmiarem CO₂ w atmosferze, topniejącymi lodowcami, huraganami, epidemiami, przeludnieniem, erozją gleby, masowym wymieraniem żyjących gatunków... to może być nasze brzemię. Jeśli chcemy ocalić nasz piękny model cywilizacyjny, to „zadaniem każdego z nas jest zmiana naszych zachowań”. Musimy konsumować mało, *żeby móc nadal konsumować*. Musimy produkować organicznie, *żeby móc nadal produkować*. Musimy się samoograniczać [*s'autocontraindre*], *żeby móc nadal przymuszać* [*contraindre*]. Tak właśnie logika tego świata zamierza przetrwać – nadając sobie pozory historycznego przełomu. Tak właśnie chcą nas nakłonić do podjęcia wielkich wyzwań przemysłowych tego nowego stulecia. Jesteśmy tak oślepiali, że bylibyśmy gotowi rzucić się w ramiona tym samym ludziom, którzy nadzorowali to spustoszenie, byleby nas z niego wydostali.

Ekologia nie tylko jest logiką ekonomii totalnej – jest również nową moralnością Kapitału. System jest w takim stanie wewnętrznego kryzysu, a obecna selekcja jest tak rygorystyczna, że pilnie potrzebne są nowe kryteria doboru. Z epoki na epokę idea cnoty i występki były niczym więcej, niż dwiema stronami tej samej monety. Nie moglibyśmy dziś, bez ekologii,

usprawiedliwić istnienia dwóch łańcuchów pokarmowych: jednego „zdrowego i organicznego” dla bogatych i ich dzieci, drugiego, znanego ze swojej toksyczności i skazującego na otyłość, dla plebsu i jego potomstwa. Globalna hiperburżuazja nie mogłaby sprzedać swojego stylu życia jako czegoś godnego szacunku [*respectable*], gdyby jej ostatnie kaprysy nie były skrupulatnie „przyjazne [*respectueux*] środowisku”. Bez ekologii nic nie miałoby wystarczającego autorytetu, by uciścić wszelkie obiekcje wobec niebotycznego wzrostu kontroli.

Możliwość wyśledzenia, transparentność, certyfikacja, ekopodatki, doskonałe spełnianie standardów środowiskowych i policja wodna – wszystko to daje nam wyobrażenie o ekologicznym stanie wyjątkowym, na który się zapowiada. Dla władzy, która opiera swój autorytet na Naturze, zdrowiu i dobrobycie, wszystko jest dozwolone. „Gdy nowe zachowania i kultura ekonomiczna staną się normą, środki przymusu niewątpliwie znikną same”. Żeby wyrazić poparcie dla tak mrozącej krew w żyłach wizji – a jednocześnie wzywać nas, abysmy na tyle „podzielali ból planety”, żeby się do jej realizacji zmobilizować i byli na tyle znieczuleni, by w niej z opanowaniem i grzecznie uczestniczyć – potrzeba całej śmiesznej brawury telewizyjnego poszukiwacza przygód⁶⁵. Nowy organiczny ascetyzm jest tą samokontrolą, której się od nas wszystkich wymaga w zamian za akcję ratunkową, w którą system

sam się wpakował. Odtąd w imię ekologii będzie trzeba zaciskać pasa, tak jak wczoraj w imię ekonomii. Drogi można by oczywiście zmienić w ścieżki rowerowe, a w naszych szerokościach geograficznych być może nawet zaszczycono by nas kiedyś jakimś dochodem gwarantowanym, ale tylko za cenę w pełni terapeutycznej egzystencji. Ci, którzy twierdzą, że upowszechniona samokontrola oszczędzi nam ekologicznej dyktatury, kłamią; jedno przetrze drogę drugiemu, a my skończymy z obydwoima.

Tak długo jak istnieć będzie Człowiek i Środowisko, będzie pomiędzy nimi policja.

W dyskursie ekologów wszystko trzeba by wyrzucić do góry nogami. Tam, gdzie oni „katastrofami” nazywają porażki obecnego reżimu zarządzania bytami i rzeczami, my widzimy tylko katastrofę jego perfekcyjnego funkcjonowania. Największa znana plaga głodu w tropikach (1876-1879) pokrywała się ze światową suszą, ale też, przede wszystkim, z apogeum kolonizacji. Zniszczenie rolniczych światów i lokalnych praktyk produkcji żywności pozbawiło ludzi narzędzi dawania sobie rady z niedostatkiem. Nie tyle niedobór wody, co właśnie rozwój ekonomii kolonialnej pokrył cały pas tropikalny wychudzonymi trupami. To, co wszędzie wygląda na katastrofę ekologiczną, nigdy nie przestało być, przede wszystkim, przejawem destrukcyjnego stosunku do świata. Niezamieszkiwanie niczego czyni nas wrażliwymi na najmniejsze drgnięcie systemu,

najmniejsze klimatyczne zagrożenie. Kiedy zbliżało się ostatnie tsunami⁶⁶, turyści nadal wygłupiali się na falach, podczas gdy wyspiarscy łowcy-zbieracze w pośpiechu uciekali z wybrzeża wraz z ptakami. Obecny paradoks ekologii polega na tym, że pod pretekstem ratowania Ziemi, ratuje ona tylko fundamenty tego, co uczyniło ją tak zdewastowaną planetą.

W czasach normalności gładkie funkcjonowanie świata służy ukryciu naszego stanu prawdziwie katastrofalnego wywłaszczenia. To, co nazywamy „katastrofą”, jest niczym innym niż wymuszonym zawieszeniem tego funkcjonowania; jednym z tych rzadkich momentów, kiedy odzyskujemy jakąś obecność w świecie. Niech ropa skończy się wcześniej niż przewidywano, niech ustaną podtrzymujące tempo metropolii przepływy międzynarodowe, niech nadejdą wielkie społeczne wstrząsy! Ujrzymy „zdziczenie populacji”, „globalne zagrożenia”, „koniec cywilizacji”! Każda utrata kontroli jest lepsza niż jakikolwiek scenariusz zarządzania kryzysowego. Po najlepsze rady nie należy zatem iść do specjalistów ds. zrównoważonego rozwoju. To w awariach i zwarcjach systemu można odnaleźć logiczne odpowiedzi na to, co dzięki nim może przestać być problemem w ogóle. Spośród wszystkich sygnatariuszy Protokołu z Kioto⁶⁷ jedynymi krajami, które (wbrew sobie) wywiązały się ze swoich zobowiązań, są Ukraina i Rumunia – zgadnij dlaczego. Najbardziej zaawansowany eksperyment z rolnictwem „organicznym”

miał od 1989 roku miejsce na Kubie – zgadnij czemu. To wzdłuż afrykańskich drózek, nigdzie indziej, mechanika samochodowa osiągnęła status sztuki ludowej – zgadnij jak.

Tym, co czyni kryzys pożądanym, jest to, że podczas niego środowisko przestaje być środowiskiem. Jesteśmy zmuszeni do odnowienia kontaktu – jakkolwiek fatalnego – z tym, co tu jest, do ponownego odnalezienia rytmów rzeczywistości. Wtedy to, co nas otacza, nie jest już pejzażem, panoramą, scenografią, a tym, co jest nam dane zamieszkiwać, częścią czego musimy się stać i od czego możemy się uczyć. Nie pozwolimy, by ci, którzy do tej „katastrofy” doprowadzili, ograbili nas z zawartych w niej możliwości. Tam, gdzie menedżerowie abstrakcyjnie rozmyślają nad tym, jak zmienić bieg wydarzeń i „nie zbankrutować”, my nie widzimy żadnej innej realistycznej opcji jak właśnie „rozbić bank” tak szybko, jak to możliwe, a w międzyczasie wykorzystywać każdą zapasć systemu, by zyskiwać na sile.

Nowy Orlean, parę dni po uderzeniu Huraganu Katrina. W tej apokaliptycznej atmosferze, życie tu czy tam się reorganizuje. W obliczu bezczynności władz – które bardziej zajmowało porządkowanie turystycznych części Dzielnicy Francuskiej⁶⁸ i ochrona sklepów niż pomaganie biedniejszym mieszkańcom miasta – odradzają się zapomniane formy. Pomimo czasem siłowych prób ewakuacji obszaru – i otwartego

z tej okazji przez milicję białych supremacjonistów sezonu „polowań na czarnuchów” – wielu nie chciało opuścić terenu. Dla tych, którzy odmówili bycia deportowanymi jako „uchodźcy klimatyczni” na cztery strony kraju i dla tych, którzy zdecydowali się do nich solidarnie przyłączyć na wezwanie byłej Czarnej Pantery⁶⁹, powróciła oczywistość samoorganizacji. W ciągu kilku tygodni została założona Common Ground Clinic. Już od pierwszych dni ten prawdziwy szpital polowy zapewniał darmowe i, dzięki stałemu napływowi wolontariuszy, coraz efektywniejsze leczenie. Klinika była od tamtego czasu podstawą codziennego oporu wobec operacji zrównania tej części miasta z ziemią rządowymi buldożerami po to, by rzucić ją później na pastwę deweloperów. Kuchnie społeczne, aprowizacja, medycyna uliczna, dzikie rekwizycje, budowa schronień tymczasowych: cała praktyczna wiedza gromadzona przez tych i tamtych z upływem lat znalazła tu zastosowanie. Z dala od mundurów i wycia syren.

Każdy, kto poznał znędzniałą radość tych nowoorleańskich dzielnic sprzed katastrofy, nieufność do państwa, która już tam panowała i powszechną praktykę brnięcia przez trudności, nie będzie zdziwiony, że tam wszystko to było możliwe. Z drugiej strony, wszyscy uwięzieni w anemicznej i zatimizowanej rutynie życia codziennego naszych mieszkalnych pustyń będą wątpić, czy uda im się w nich znaleźć taką determinację. Odnowienie kontaktu z tymi gestami, zagrzebanymi

pod latami znormalizowanego życia, jest jedynym sposobem, żeby nie zatonać razem z tym światem. I oto nadchodzi czas, w którym będziemy mogli się zakochać.

Krąg siódmy

„Budujemy tu cywilizowaną przestrzeń”

Pierwszowieświatowa rzeź – ta, która od 1914 do 1918 roku umożliwiła pozbycie się za jednym zamachem dużej części wiejskiego i miejskiego proletariatu – została przeprowadzona w imię wolności, demokracji i cywilizacji. Trwająca od pięciu lat słynna „wojna z terroryzmem” – wraz z jej selektywnymi eliminacjami i specjalnymi operacjami – pozornie toczy się w imię tych samych wartości. Tu się jednak podobieństwa kończą: na pozorach. Cywilizacja przestała już być tą oczywistością, którą bezceremonialnie niesiemy tubylcom. Wolność nie jest już słowem, które wypisujemy na murach; teraz, jak cień, idzie za nim „bezpieczeństwo”. A demokracja jest, jak powszechnie wiadomo, łatwo rozpuszczalna w najczystszych ustawach nadzwyczajnych – na przykład w oficjalnym przywróceniu tortur w Stanach Zjednoczonych⁷⁰ czy w ustawie Perben II⁷¹ we Francji.

W przeciągu jednego stulecia wolność, demokracja i cywilizacja znów zostały sprowadzone do

zwykłych hipotez. Cała praca naszych przywódców polega teraz na pielęgnowaniu materialnych, moralnych, symbolicznych i społecznych warunków, w których te hipotezy są mniej lub bardziej potwierdzane, oraz na konfigurowaniu przestrzeni, w których wydają się działać. Wszystkie chwytty są tu dozwolone, nawet te najmniej demokratyczne, najmniej cywilizowane, najbardziej zabezpieczające. W ciągu ostatniego stulecia demokracja regularnie rodziła faszystowskie reżimy, cywilizacja rymowała się – na melodię Wagnera czy Iron Maiden – z eksterminacją, a wolność pewnego dnia w 1929 roku przybrała podwójne oblicze: rzucających się z okien bankierów i zagłodzonej rodziny robotników⁷². Później – powiedzmy, od 1945 roku – przyjęto, że manipulacja masami, działalność służb specjalnych, ograniczanie swobód obywatelskich i całkowita niezależność różnych gałęzi policji są odpowiednimi środkami zapewniającymi demokrację, wolność i cywilizację. W najnowszym stadium tej ewolucji widzimy pierwszego socjalistycznego mera Paryża, który robiąc ostatnie szlify przy pacyfikacji terenów miejskich – czyli przy rozwoju policji blokowisk – wyjaśnia starannie wykalkulowanymi słowami: „Budujemy tu cywilizowaną przestrzeń”. Nie ma co się tu powtarzać, wszystko trzeba zniszczyć.

Pomimo wrażenia ogólności, kwestia cywilizacji nie jest w żadnym stopniu kwestią filozoficzną. Cywilizacja nie jest wiszącą nad życiem

abstrakcją – jest tym, co rządzi, inwestuje i kolonizuje najbardziej codzienną, najbardziej osobistą egzystencję. Jest tym, co spaja wymiary największej intymności i największej ogólności. We Francji cywilizacja jest nierozzerwalnie związana z państwem. Im starsze i silniejsze państwo, tym mniej jest nadbudową – egzoszkieletem społeczeństwa – a tym bardziej jest faktyczną formą podmiotowości, które je zaludniają. Państwo francuskie jest samą tkanką francuskich podmiotowości, kształtem, którego nabrała wielowiekowa kastracja jego poddanych. Nie powinno więc dziwić, że chorym psychicznie często wydaje się, że są właśnie politykami; że zgadzamy się co do tego, że nasi przywódcy są źródłami wszystkich naszych problemów; że tak bardzo lubimy na nich narzekać i że to narzekanie jest aklamacją, przez którą wywyższamy ich na naszych panów. Bo nie chodzi nam tu o politykę jako obcą nam rzeczywistość, ale jako część nas samych. Życie, które wkładamy w te figury, jest życiem, które nam odebrano.

Jeśli istnieje jakiś francuski wyjątek⁷³, to wynika właśnie z tego. Nawet międzynarodowy prestiż literatury francuskiej nie uniknął wpływu tego okaleczenia. We Francji literatura jest przestrzenią, która została zarezerwowana rozrywce kastratów. To wolność formalna, którą oddaliśmy tym, którzy nie radzą sobie z brakiem prawdziwej wolności. Stąd te nieprzyzwoite spojrzenia, którymi w tym kraju od wieków nie przestają wymieniać się mężowie stanu i literaci, chętnie przebiegający się

nawzajem w swoje ciuszki. Stąd też bierze się u intelektualistów zwyczaj mówienia tak wzniosłe, podczas gdy upadli tak nisko i zawodzenia w decydującej chwili – jedynej, która mogłaby nadać sens ich istnieniu, ale która jednocześnie mogłaby skreślić ich zawodo-wo. Teza, że współczesna literatura narodziła się wraz z Baudelaire'em, Heinem i Flaubertem⁷⁴ jako riposta na państwową masakrę z czerwca 1848 roku⁷⁵, jest zasadna i uzasadniania. To z krwi paryskich buntowników i sprzeciwu wobec otaczającej rzeź ciszy narodziły się nowożytne formy literackie: chandra [*spleen*], ambiwalencja, fetyszyzm formy i chorobliwe oderwanie⁷⁶. Neurotyczne przywiązanie Francuzów do swojej Republiki – w imię której każdy błąd odzyskuje swoją godność, a każde łajdactwo nabiera szlachetności – sprawia, że fakt, że jej założenie zebrało śmiertelne żniwo, jest stale wypierany. Dni czerwcowe – kiedy w walce zginęło tysiąc pięćset osób, bez procesu zabito kilka tysięcy jeńców, a Zgromadzenie Narodowe upadek ostatniej barykady powitało słowami „Vive la République!” – oraz Krwawy Tydzień, są znamionami, których żadna operacja plastyczna nie usunie.

Kojève w 1945 roku napisał: „*»Oficjalnym«* ideałem politycznym Francji i Francuzów jest nadal państwo narodowe, ta *»jedna i niepodzielna Republika«*. Z drugiej strony, w głębi serca, kraj zdaje sobie sprawę z niewystarczalności tego ideału, z politycznego anachronizmu idei ściśle *»narodowej«*. To poczucie

z pewnością nie osiągnęło jeszcze poziomu jasnej i wyraźnej idei: kraj nie może i nie chce jeszcze mówić tego wprost. Co więcej, niezrównany blask jej narodowej przeszłości, wyjątkowo utrudnia Francji jasne rozpoznanie i szczerze zaakceptowanie końca okresu »narodowego« w historii i wyciągnięcie z tego wszystkich konsekwencji. Krajowi, który z niczego stworzył ideologiczny szkielet nacjonalizmu, i który wyeksportował go na cały świat, trudno jest uznać, że jest to teraz po prostu kolejna rzecz, której miejsce jest w archiwum.”

Kwestia państwa narodowego i żałoby po nim leży u podstaw tego, co od ponad pół wieku nazywane jest *francuską chorobą*. To stężale zwlekane grzecznie nazywamy „alternacją”⁷⁷ – to wahanie się od lewa do prawa, i z prawa do lewa; tak, jak po fazie maniakalnej przychodzi depresyjna i tak, jak we Francji oratorska krytyka indywidualizmu współistnieje z najbardziej zaciekłym cynizmem, a największa hojność z lękiem przed pospółstwem. Od 1945 roku ta przypadłość – która, jak się zdawało, ustąpiła trochę dzięki insurekcyjnemu ferworowi maja ’68 – nigdy nie przestała się pogłębiać. Era państw, narodów i republik dobiega końca, a ten kraj, który w ofierze tym formom złożył całe swoje życie, pozostaje osłupiały. Z burzy rozpętanej prostym stwierdzeniem Jospina, że „państwo nie może wszystkiego”⁷⁸ możemy się domyślić, że prędzej czy później objawienie, że państwo nie może już nic, przyniesie dokładnie taki sam efekt. Poczucie bycia oszukanym

wciąż rośnie i szerzy się jak gangrena. Jest źródłem wyłazającej przy każdej okazji, stale narastającej wściekłości. Niewypłakana żałoba po erze narodów jest kluczem do francuskiego anachronizmu i do rewolucyjnych możliwości, które Francja wciąż w sobie kryje.

Niezależnie od wyników, rolę nadchodzących wyborów prezydenckich jest zasygnalizowanie końca francuskich iluzji, przebicie historycznej bańki, w której żyjemy, co umożliwia takie wydarzenia jak ruch przeciwko CPE, który z zagranicy obserwowany jest jak jakiś zły sen rodem z lat 70. Właśnie dlatego tak naprawdę nikt tych wyborów nie chce. Francja naprawdę jest na szarym końcu wyścigu szczurów krajów zachodnich⁷⁹.

A dzisiaj zachód jest amerykańskim żołnierzem, który pędzi na Falludżę w czołgu M1 Abrams, słuchając hard rocka na cały regulator. To wyśmiewany przez wszystkich, zagubiony na mongolskim stepie turysta, który ściska swoją *kartę kredytową* jak ostatnią deskę ratunku. To menadżer, który klnie się na go⁸⁰. To młoda dziewczyna, która szuka szczęścia w ciuchach, facetach i kremach nawilżających. To szwajcarski aktywista praw człowieka, który zjeżdża cztery krańce ziemi, solidarny ze wszystkimi rewoltami tak długo, jak są przegrane. To Hiszpan, który ma w dupie wolność polityczną, tak długo jak gwarantuje się mu wolność seksualną. To koneser sztuki, który – by wywołać oniemiałe zdumienie – jako przykład ostatniego

wyrazu współczesnego geniuszu wystawia dzieła całego stulecia artystów, od surrealistów po wiedeńskich akcjonistów, prześcigających się w spluwaniu w twarz cywilizacji. To cybernetyk, który odnalazł realistyczną teorię świadomości w buddyzmie i fizyk cząsteczkowy, który inspiracji dla swoich najnowszych odkryć poszukuje w hinduskiej metafizyce. Zachód jest cywilizacją, która przetrwała wszelkie przepowiednie swojego upadku dzięki *jednemu prostemu sposobowi*. Tak jak burżuazja, która – aby doprowadzić do uburzujnienia społeczeństwa, od robotnika po barona – musiała zanegować *siebie jako klasę*; tak jak kapitał, który musiał poświęcić *siebie jako stosunek pracy najemnej*, aby narzucić się jako relację społeczną, stając się kapitałem kulturowym i zdrowotnym w takim samym stopniu, jak kapitałem finansowym; tak jak chrześcijaństwo, które musiało poświęcić siebie jako religię, aby przetrwać jako struktura afektywna, jako niejasny nakaz pokory, współczucia i słabości; *tak samo zachód poświęcił siebie jako konkretną cywilizację, aby narzucić się jako kulturę uniwersalną*. Można tę transakcję podsumować następująco: umierający twór poświęca się jako treść, by móc przetrwać jako forma.

Szczątki jednostki ratują siebie jako formę, dzięki „duchowym” technologiom coachingu. Patriarchat – dzięki obciążeniu kobiet wszystkimi uciążliwymi atrybutami męskości: silną wolą, samokontrolą i niewrażliwością. Rozkład społeczeństwa – dzięki

rozprzestrzenieniu epidemii życia towarzyskiego [*sociabilité*] i rozrywki. I tak wszystkie te wielkie i przestające zachodnie bujdy utrzymują się dzięki sztuczkom, które je raz za razem dementują.

Nie ma żadnego „zderzenia cywilizacji”⁸¹. To, co jest, to cywilizacja w stanie klinicznej śmierci – podłączona do czego tylko się da, byle utrzymać ją przy życiu – i rozsiewająca w globalnej atmosferze charakterystyczną zarazę. Na tym etapie nie wierzy już w ani jedną ze swoich „wartości”, a każda afirmacja jest dla niej bezczelnością – prowokacją, którą należy poćwiartować, zdekonstruować i zaciągnąć z powrotem w stan zwątpienia. Dzisiejszy zachodni imperializm to imperializm relatywizmu, imperializm słów: to twój „punkt widzenia”. To małe ukradkowe spojrzenie czy urażony sprzeciw wobec wszystkiego, co jest wystarczająco głupie, prymitywne lub zarozumiałe, by nadal w coś wierzyć, by cokolwiek afirmować. To właśnie ten dogmatyzm podważania sprawia, że akademicka i literacka inteligencja posyła sobie porozumiewawcze spojrzenia. Dla postmodernistycznych intelektualistów żadna krytyka nie jest zbyt radykalna, tak długo jak spowita jest całkowitym brakiem pewności. Sto lat temu skandalem była każda hałaśliwa negacja, a dziś jest nim każda niewzruszona afirmacja.

Żaden porządek społeczny nie może trwale zasażać się na tym, że nic nie jest prawdziwe – trzeba go więc utrzymywać. Dzisiejsze stosowanie do wszystkiego

pojęcia „bezpieczeństwa” jest wyrazem projektu wtłaczania w same byty, zachowania i miejsca idealnego porządku, któremu te nie są już skłonne same z siebie się podporządkować. „Nic nie jest prawdziwe” nie mówi niczego o świecie, ale mówi za to wszystko o zachodniej koncepcji prawdy. Prawda nie jest tu pojmowana jako atrybut bytów lub rzeczy, lecz ich reprezentacji. Za prawdziwą uznawana jest reprezentacja, która jest zgodna z doświadczeniem. Nauka jest jedyną nadzieją tego imperium uniwersalnej weryfikacji. A jednak wszelkie ludzkie zachowania, od tych najwykleszych po te najbardziej wyrafinowane, spoczywają na fundamencie niespójnie sformułowanych oczywistości. Wszystkie praktyki wychodzą z punktu, gdzie rzeczy i ich reprezentacji nie da się od siebie odróżnić – i tak w każde życie wkracza dawka prawdy ignorowana przez jej zachodnią koncepcję. Możemy mówić tu o „zwykłych ludziach”, ale zawsze tylko i wyłącznie po to, by nabijać się z tych ubogich w duchu⁸². Właśnie dlatego ludzie Zachodu byli powszechnie uważani za kłamców i hipokrytów przez tych, których kolonizowali. Właśnie dlatego zawsze zazdrośczone im tego, co mają – ich technologicznego rozwoju – lecz nigdy tego, kim są, czym słusznie pogardzano. Nie można by uczyć w liceach o Sade, Nietzschem i Artaudzie, gdyby samo pojęcie prawdy nie zostało z góry zdyskwalifikowane. Ciągłe opanowywanie wszelkich afirmacji, dezaktywowanie krok po kroku wszelkich wychodzących

na światło dzienne pewników – oto długofalowe zadanie zachodniego intelektu. Policja i filozofia są dwiema zbieżnymi, nawet jeśli formalnie różnymi, drogami do tego celu.

Rzecz jasna, imperializm relatywizmu godnego przeciwnika odnajduje w każdym pustym dogmatyzmie, w każdym marksizmie-leninizmie, w każdym salafizmie czy neonazizmie: w każdym kto, jak ludzie Zachodu, myli afirmację z prowokacją.

Na tym etapie wszelki *stricte* społeczny protest, który nie chce dostrzec, że to, z czym mamy do czynienia, nie jest kryzysem społeczeństwa, ale zagładą cywilizacji, staje się współwinnym podtrzymywania jej przy życiu. Tak właściwie, to krytykowanie tego społeczeństwa w próżnej nadziei na ocalenie cywilizacji stało się teraz powszechną strategią.

I to by było tyle. Dźwigamy na barkach trupa, ale nie pozbędziemy się go ot tak. Od końca cywilizacji – od jej śmierci klinicznej – nie ma czego oczekiwać. Jako taka interesować może tylko historyków. To *fakt*, który trzeba przełożyć na *decyzję*. O ile fakty można zamieść pod dywan, to decyzja jest polityczna. Zdecydujemy się na śmierć cywilizacji i weźmy w swoje ręce to, *jak* do niej dojdzie: tylko ta decyzja uwolni nas od tego truchła.

W DROGĘ!

Insurekcja. Przez sześćdziesiąt lat pacyfikacji, zawieszenia historycznych zmian, sześćdziesiąt lat demokratycznego znieczulenia i zarządzania wystąpieniami – które osłabiły naszą zdolność do ostrego postrzegania rzeczywistości, wyczuwania stron w trwającej wojnie – nie wiemy już nawet, gdzie się zaczyna. To od odzyskania tej percepcji musimy zacząć.

Nie ma sensu *oburzać się* otwarcie niekonstytucyjnymi ustawami antyterrorystycznymi⁸³. Przeciwno całkowitej zapaści ram prawnych nie ma sensu protestować zgodnie z prawem. Musimy się stosownie zorganizować.

Nie ma sensu *angażować się* w tę czy inną grupę obywatelską, w ten czy tamten skrajnie lewicowy ślepy zaułek czy w ostatni stowarzyszeniowy przekręt. Wszystkie organizacje, które twierdzą, że rzucają wyzwanie obecnemu porządkowi, oprócz tego, że są marionetkami, mają też obyczaje i język miniaturowych państw. Wszystkie mgliste marzenia o „innej polityce” przyczyniły się jedynie do nieskończonego zwiększania zasięgu macek państwa.

Nie ma sensu *reagować* na wiadomość dnia. Każdą informację należy rozumieć jako operację do

rozszyfrowania na wrogim polu strategii – operację mającą na celu wywołanie takiej lub innej reakcji u tej lub innej osoby – i jako taką uznać za prawdziwą informację zawartą w informacji pozornej.

Nie ma już na co czekać – na przełom, na rewolucję, na apokalipsę nuklearną czy na ruch społeczny. Dalsze czekanie jest szaleństwem. Katastrofa nie jest tym, co nadchodzi, ale tym, co już tu jest. Wszyscy już jesteśmy *w samym środku* zapaści cywilizacyjnej. I to właśnie tutaj musimy obrać stronę.

Nieczekanie już ani chwili dłużej oznacza wejście, w taki czy inny sposób, w logikę insurekcyjną; ponowne usłyszenie w głosie naszych przywódców lekkiego roztrzęsienia, które nigdy ich nie opuściło. Bo rządzenie nigdy nie było niczym innym niż odwlekaniem – na tysiąc różnych sposobów – momentu, w którym tłum cię powiesi, a każdy akt rządzenia niczym innym jak sposobem niestracenia kontroli nad populacją.

Zaczynamy dziś z pozycji skrajnej izolacji, skrajnej bezsilności. Wszystko trzeba zbudować na procesie insurekcyjnym. Nic nie wydaje się mniej prawdopodobne od insurekcji, ale nic nie jest bardziej *potrzebne*.

ODNALEŹĆ SIĘ

*Uchwycić się tego, co dla nas prawdziwe
I od tego zacząć*

Spotkanie, odkrycie, masowy strajk, trzęsienie ziemi: każde wydarzenie wytwarza prawdę, zmieniając sposób, w jaki jesteśmy w świecie. I odwrotnie: obserwacja, która jest nam obojętna, która na nas nie wpływa ani nie angażuje, nie zasługuje jeszcze na miano prawdy. Prawda kryje się za każdym gestem, każdą praktyką, każdą relacją i każdą sytuacją. Weszło nam w nawyk zręczne omijanie jej, *radzenie sobie z nią*, co powoduje zbłąkanie charakterystyczne dla większości ludzi w naszych czasach. W rzeczywistości wszystko pociąga za sobą wszystko inne⁸⁴. Poczucie życia w kłamstwie jest nadal prawdą – chodzi o to, żeby nie wypuścić jej z ręki, a nawet, by od tego zacząć. Prawda nie jest poglądem na świat, ale tym, co w nieredukowalny sposób nas z nim wiąże. Nie jest czymś, co niesiemy, a tym, co nas ponosi. Tworzy mnie i niszczy, formuje i deformuje jako jednostkę; oddala mnie od wielu, ale zbliża do tych, którzy jej doświadczają. Odizolowany byt, który się jej uchwycił, nieuchronnie napotka sobie podobne. W rzeczywistości każdy

proces insurekcyjny rozpoczyna się od prawdy, o którą walczy się do końca. W Hamburgu w latach 80. garstka mieszkanek okupowanego domu zdecydowała, że eksmitujący będą musieli przejść po ich trupach. Było oblężenie dzielnicy przez czołgi i helikoptery, były walki uliczne trwające całymi dniami, były monstrialne manifestacje – i był mer, który ostatecznie skapitulował. Z kolei w 1940 roku, jedynym punktem wyjścia dla Georges'a Guingouina – „pierwszego maquisarda Francji” – była pewność jego niezgody na okupację. Dla Partii Komunistycznej był wtedy po prostu „żyjącym w lesie szaleńcem” – aż do czasu, gdy 20 tys. takich leśnych szaleńców wyzwoliło Limoges⁸⁵.

Nie cofać się przed tym, co w każdej przyjaźni polityczne

Wyuczono nas neutralnej idei przyjaźni: czystego uczucia bez zobowiązań. Ale każda bliskość [*affinité*] jest bliskością we wspólnej prawdzie – a każde spotkanie jest spotkaniem we wspólnej afirmacji, nawet jeśli jest to afirmacja zniszczenia. Wiązanie się z kimś nie jest niewinne w czasach, w których obstawanie przy swoim notorycznie prowadzi do bezrobocia; w których trzeba kłamać, żeby pracować, a potem pracować, żeby móc nadal kłamać. Osoby, które klną się na to, że odnalazły w fizyce kwantowej odpowiedzi na wszystkie

pytania, są ze sobą nie mniej politycznie związane niż towarzyszek, które zmagają się z międzynarodowym agrobiznesem. Wszystkie będą prędzej czy później doprowadzone do dezercji i do walki.

Inicjatorzy ruchu robotniczego mogli się odnaleźć najpierw w warsztatach, a potem w fabrykach. Mieli strajki, żeby się przeliczyć i zdemaskować łamistrajków [*les jaunes*]. Mieli stosunki pracy najemnej, napuszczające na siebie partię Kapitału i partię Pracy, które umożliwiły im budowanie solidarności i wytyczenie frontów na światową skalę. My, żeby się odnaleźć, mamy całą przestrzeń społeczną; żeby móc się przeliczyć i zdemaskować wszystkich zdrajców, wazeliniaarzy, oblechów i społeczników⁸⁶ [*les jaunes*], mamy codzienne akty nieposłuszeństwa. I mamy wrogość wobec tej cywilizacji, pozwalającą nam budować solidarność i wytyczać fronty na światową skalę.

***Nie oczekiwać niczego od żadnych organizacji
Rzucić wyzwanie wszystkim istniejącym
środowiskom,
a przede wszystkim, nie stać się jednym z nich***

Nierzadko zdarza się, że w toku konsekwentnego odstępowania [*désaffiliation conséquente*] napotykaemy organizacje – polityczne, pracownicze, humanitarne czy też stowarzyszenia. Czasami nawet można

spotkać w nich jednostki szczerze – choć zdesperowane, lub entuzjastyczne – ale podstępne. Atrakcyjność organizacji leży w ich pozornej spójności: mają historię, siedzibę, nazwę, zasoby, przywódcę, strategię czy dyskurs. Są mimo wszystko pustymi strukturami, którym trudno jest wzbudzić szacunek, jaki miałyby im się rzekomo należeć ze względu na ich heroiczne początki. We wszystkim i na każdym poziomie zainteresowane są niczym innym jak tylko swoim własnym przetrwaniem, a ich ciągłe zdrady często zrażają nawet ich własną bazę społeczną – i dlatego od czasu do czasu można się tam natknąć na kilka wartościowych osób. Jednak obietnica zawarta w takich spotkaniach może spełnić się tylko poza organizacją i, koniecznie, przeciwko niej.

O wiele groźniejsze są środowiska ze swoją giętą strukturą, plotkami i nieformalnymi hierarchiami. Należy trzymać się z dala od nich wszystkich, bo każde to środek neutralizacji jakiejś prawdy: środowiska literackie są po to, by tępić bezpośredniość słowa pisanego; środowiska wolnościowe, by łagodzić akcję bezpośrednią; środowiska naukowe, by ukrywać wpływ ich badań na znaczną większość ludzi; środowiska sportowe, by zamykać w swoich salach gimnastycznych różne formy życia, z których mogłyby się zrodzić różne formy sportu. Ale w szczególności należy trzymać się z daleka od środowisk kulturowych i środowisk aktywistów – obydwa są umiarnymi, w których

gniją wszystkie rewolucyjne pragnienia. Zadaniem tych pierwszych jest dostrzeganie wzrastających intensywności i odebranie ich wam poprzez objaśnianie znaczenia tego, co robicie; tych drugich – pozbawianie was energii, której potrzebujecie, żeby w ogóle coś robić. Te środowiska aktywistów zarzucają swoje rzadkie sieci na całe terytorium Francji i zawsze stają na drodze do stawania się rewolucjonistką. Jedyne, co ich członkowie są w stanie zaoferować, to swoje liczne porażki i zgorzkniałość, w którą przez nie wpadli, a ich zużycie, podobnie jak taplanie się we własnej niemocy, sprawiły że nie są w stanie pojąć możliwości, jakie daje teraźniejszość. Do tego ciągle za dużo mówią, żeby ją-koś ubarwić swoją nieszczęśliwą pasywność – przez co nie można ufać, że nie ułatwią policji roboty. Tak jak próżno czegokolwiek po nich oczekiwać, tak samo głupie jest rozczarowanie ich skostnieniem. Pozbądźmy się tej kuli u nogi.

Wszystkie środowiska są kontrrewolucyjne, bo jedyne czym są zainteresowane to zachowaniem swojego beznadziejnego komfortu.

Tworzyć komuny

Komuna jest tym, co się dzieje, kiedy ludzie się odnajdują, dogadują i postanawiają iść wspólną drogą. Komuna jest być może tym, na co się decydujemy

w momencie, w którym zwykle byśmy się rozdzielili. Jest radością ze spotkania, która jest w stanie przetrwać rygorystyczne jej dławienie. Tym właśnie, co sprawia, że mówimy „my” i że jest to wydarzenie. Nie to jest dziwne, że dobrze dogadujący się ludzie tworzą komunę, a to, że pozostają rozłączeni. Bo dlaczego komuny nie miałyby się mnożyć w nieskończoność? W każdej fabryce, na każdej ulicy, w każdej wiosce, w każdej szkole. W końcu panowanie oddolnych komitetów⁸⁷ [*comités de base*]! Ale to byłyby komuny akceptujące to, czym są i gdzie są. Tym samym byłoby możliwe, żeby ich wielość zastąpiła instytucje społeczne: rodzinę, szkołę, związek zawodowy, klub sportowy i tak dalej. To byłyby komuny, które poza swoją działalnością polityczną nie bałyby się organizować w celu zapewnienia moralnego i materialnego przetrwania każdej ze swoich członkiń oraz wszystkich zagubionych ludzi, którzy je otaczają. Bo komuny, w przeciwieństwie do tego, jak często definiują się kolektywy – przez to co w nich i poza nimi – określają się przez gęstość spajających je więzi. Nie przez ludzi, którzy je tworzą, ale poprzez ducha, który je napędza.

Komuna powstaje za każdym razem, gdy kilka osób uwolnionych ze swoich kaftanów bezpieczeństwa, zaczyna polegać tylko na sobie i siłować się z rzeczywistością. Komuną jest każdy dziki strajk, tak samo jak każdy kolektywnie i z wyraźnych powodów okupowany budynek, komitety akcyjne z maja 1968

roku⁸⁸ czy też osady zbiegłych niewolników w USA⁸⁹ albo Radio Alice w Bolonii w 1977⁹⁰. Każda komuna pragnie być sama sobie bazą [base]. Pragnie skończyć z problemem potrzeb. Pragnie za jednym zamachem zerwać z zależnością ekonomiczną i wszelkim podporządkowaniem politycznym, ale degeneruje w środowisko, gdy tylko straci kontakt z prawdami, które służyły jej za fundament. Jest cała masa różnych komun, które się organizują i nie czekają ani na liczebność, ani na środki – ani tym bardziej na „właściwy moment”, który nigdy nie nadejdzie.

ZORGANIZOWAĆ SIĘ

Zorganizować się, by nie musieć już pracować

Ciepłe posadki stają się rzadkością i, szczerze mówiąc, bardzo często traci się w nich zbyt dużo czasu na nudzeniu się. Wyróżniają się też dość kiepskimi warunkami do drzemania i czytania.

Wiadomo, samo istnienie jednostki jest warte tak mało, że na życie musi sobie *zarobić*; że jest zmuszona sprzedawać swój czas w zamian za odrobinę społecznej egzystencji. Prywatny czas za egzystencję społeczną: to właśnie jest praca, taki jest rynek. Czas komuny – przeciwnie: z góry wymyka się pracy. Nie tańczy, jak mu zagrają, preferuje inny rytm. Na przykład grupy argentyńskich *piqueteros* wspólnie wyciągają dla siebie pewien rodzaj zasiłku, uzależnionego od przepracowania kilku godzin; robią absolutne minimum, po czym uwspólniają swoje zarobki i zakładają pracownię krawieckie, piekarnie i sadzą potrzebne im ogrody.

Na komunę zdobywa się środki, ale to nie to samo, co mus zarabiania na życie. Wszystkie komuny mają swoje lewe pieniądze. Kombinuje się na wiele sposobów – są przeróżne zasiłki, płatne zwolnienia lekarskie, skumulowane stypendia, pomoc finansowa

uzyskana z fikcyjnych porodów, różnego rodzaju nielegalny handel – a z każdą kolejną mutacją kontroli powstają nowe. Nie do nas należy ocena tych wszystkich środków; nie zamierzamy zadomowić się w tych prowizorycznych schronieniach, ani też zatrzymywać ich jako przywileju dla wtajemniczonych. Dla nas ważne jest kultywowanie, upowszechnianie tej koniecznej skłonności do wałków i dzielenie się innowacjami. Dla komun kwestia pracy pojawia się dopiero wtedy, gdy istnieją już inne źródła dochodu – mimo wszystko nie wolno zaniedbywać przydatnej wiedzy, którą mimochodem można wynieść z wykonywania pewnych zawodów, ze szkoleń czy z dobrze sytuowanych stanowisk.

Komuna wymaga uwolnienia jak największej ilości czasu dla wszystkich. Nie mierzy się tego wyłącznie – czy przede wszystkim – liczbą *godzin wolnych* od wyzysku w tej czy innej pracy najemnej. Wyzwolenie czasu nie oznacza wzięcia permanentnego wolnego; czas wolny, czas bezczynności, czas pustki lub strachu przed pustką to nic innego jak czas pracy. Gdy tak na to spojrzemy, to nie ma już czasu do *wypełnienia*, tylko energia do uwolnienia, której żaden „czas” nie pomieści; linie, które się zarysowują, uwydatniają i za którymi możemy z przyjemnością podążać, aż do ich końca, aż zobaczymy, jak przecinają się z innymi.

Plądrować, uprawiać, wytwarzać

Masowo zwolnieni pracownicy prędkiej stają się złodziejami, niż ochroniarzami⁹¹. Pracownicy EDF pokazują swoim bliskim, jak cofać liczniki. Towar, który „wypadł z ciężarówki”, opyla się na lewo i prawo. Świat, który tak się obnosi ze swoim cynizmem, nie powinien oczekiwać ze strony proletariuszek szczególnej lojalności.

Z jednej strony komuna nie może polegać na tym, że „państwo opiekuńcze” będzie trwać wiecznie, a z drugiej nie może liczyć, że będzie długo żyła z okradania sklepów, skipowania, nocnych odwiedzin w magazynach stref przemysłowych, defraudacji grantów, z oszukiwania firm ubezpieczeniowych i innych wałków – krótko mówiąc: z grabieży. Musi więc troszczyć się o ciągłe podnoszenie poziomu i zakresu swojej samoorganizacji. Nie ma nic bardziej logicznego od tego, by kupić wyprzedawane z likwidowanej fabryki tokarki, frezarki i kserokopiarki, a potem użyć ich do podtrzymania jakiegoś spisku przeciwko społeczeństwu towarowemu.

Bliskość upadku jest dziś wszędzie tak jaskrawo wyczuwalna, że trudno zliczyć wszystkie eksperymenty z budownictwem, energetyką, materiałami, przestępstwami czy uprawami, którymi zaczęli zajmować się ludzie. Istnieje cały szereg umiejętności i technik,

które tylko czekają aby je zagrabieć i wyrwać z moralizatorskiego, bandyckiego⁹² czy eko opakowania. Ale ten zestaw jest nadal tylko ułamkiem wszystkich intuicji, *know-how'u* i slumsowej pomysłowości, które trzeba będzie wykorzystać, jeśli zamierzamy tchnąć życie w metropolitalną pustynię i jeśli insurekcja ma wyjść poza swoje pierwsze etapy.

Jak się komunikować i poruszać w sytuacji całkowitego zaburzenia przepływu? Jak sprawić, żeby rolnictwo na obszarach wiejskich znów było w stanie utrzymać taką liczbę ludzi jak sześćdziesiąt lat temu? Jak przekształcić betonowe przestrzenie w miejskie ogrody warzywne, jak zrobiła to Kuba, by przetrzymać amerykańskie embargo i rozpad ZSRR?

Trenować i uczyć (się)

Co nam pozostało po tym, jak już spróbowałyśmy wszystkich sposobów spędzania wolnego czasu dozwolonych przez demokrację rynkową? Co sprawiało, że szliśmy pobiegać w niedzielę rano? Co trzymało tych wszystkich fanatyków wędkarstwa i karate, fanów majsterkowania czy zbierania grzybów? Co innego, jeśli nie potrzeba wypełnienia całkowitej bezczynności, zregenerowania swoich sił roboczych czy swojego „kapitału zdrowotnego”? A przecież większość hobby z łatwością mogłaby zostać obdarta ze swojej

absurdalności i stać się czymś innym. Boks na przykład nie zawsze był zarezerwowany dla Telethonów czy gali widowiskowych. W Chinach początku XX wieku – rozrywanych przez hordy osadników i zagładzanych przez długie susze – setki tysięcy biednych chłopów zaczęło się organizować w niezliczonych klubach bokse-rów, by odbić z rąk bogatych i osadników to, z czego ich okradziono. Tak właśnie wybuchło powstanie bokse-rów. Nigdy nie jest za wcześnie na naukę i praktykę tego, czego będą wymagać od nas mniej spokojne, mniej przewidywalne czasy. Nasza zależność od me-tropolii – jej medycyny, rolnictwa, policji – jest na tyle duża, że nie możemy jej zaatakować bez narażania na niebezpieczeństwo samych siebie. Być może właśnie niesformułowana świadomość tej słabości może tłumaczyć spontaniczne samoograniczanie się obecnych ruchów społecznych; to właśnie ona powoduje strach przed kryzysem i wywołuje tęsknotę za „bezpieczeństwem”. To przez nią strajki przehandlowały horyzont rewolucji za powrót do normalności. Uwolnienie się od tego fatum wymaga długiego i konsekwentnego procesu uczenia się, a także licznych eksperymentów na dużą skalę. To kwestia nabycia umiejętności wal-ki, otwierania zamków, leczenia zarówno złamań jak i bolących gardeł, konstruowania pirackich radiostacji, budowania kuchni polowych, celnego strzelania, a tak-że tego, jak zebrać porozrzucaną wiedzę i stworzyć agronomię wojenną, zrozumieć biologię planktonu,

skład gleby i interakcje roślin, a tym samym odzyskać utraconą intuicję, odzyskać wszelkie możliwe zastosowania i związki z naszym bezpośrednim otoczeniem, jak i jego granice, których nie możemy przekroczyć. I musimy zacząć to wszystko już dzisiaj, w przygotowaniach na dni, kiedy będziemy potrzebować od niego więcej niż tylko zaspokojenia symbolicznej części naszych potrzeb – czy to chodzi o jedzenie, czy o opiekę.

Tworzyć terytoria

Pomnażać strefy nieprzejrystości

Coraz więcej reformistów zgadza się, że w „miarę jak zbliżamy się do *peak oil*⁹³” i „aby zredukować emisje gazów cieplarnianych”, konieczna będzie „relokalizacja gospodarki”, wsparcie regionalnego zaopatrzenia i krótkich łańcuchów dostaw, zrezygnowanie z wygody zamorskiego importu i tak dalej. Zapominają o tym, że wszystko, co robi się w lokalnej ekonomii, robi się *pod stołem*, w „nieformalny” sposób; że ta prosta, ekologiczna procedura relokalizacji gospodarki implikuje albo pełną wolność od państwowej kontroli, albo całkowite jej się poddanie.

Obecne terytorium jest wytworem stuleci operacji policyjnych. Ludzie najpierw zostali wyrzuceni ze swoich wiosek, potem ze swoich ulic, ze swoich dzielnic i ostatecznie z korytarzy swoich budynków, w oszalałej

nadziei pomieszczenia wszelkiego życia w czterech śmierzących ścianach prywatności. Kwestia terytorium nie jest dla nas tym samym, czym jest dla państwa. Nam nie chodzi o *utrzymanie* go, a raczej o lokalne zagęszczenie komun, cyrkulacji i solidarności, aż stanie się ono nieczytelne, nieprzejrzyste dla wszelkiej władzy. Nie chodzi o zajęcie terytorium – chodzi o *bycie* terytorium.

Każda praktyka rodzi terytorium: terytorium dealera lub myśliwego, terytorium dziecięcych zabaw, kochanków lub zamieszek, terytorium rolniczki, ornitolożki lub włóczęgi. Zasada jest prosta – im więcej terytoriów nakłada się na dany obszar, tym większa jest cyrkulacja między nimi i tym trudniej jest przejąć nad nim władzę. Bistra, drukarnie, sale sportowe, nieużytki, księgarnie, dachy budynków, prowizoryczne targi, kebaby czy garaże mogą łatwo wymknąć się swojemu oficjalnemu przeznaczeniu, jeśli ludzie będą tam wystarczająco mocno trzymać sztamę [*complicité*]. Lokalna samoorganizacja nakłada własną geografię na państwową kartografię, rozmywa ją i unieważnia – i poprzez to doprowadza samą siebie do secesji.

Podróżować Tworzyć własne kanały komunikacyjne

Istotą komun nie jest przeciwstawianie się metropolii i jej mobilności przez zakorzenienie i powolność lokalnego życia. Ekspansywny ruch tworzenia komun musi być rewersem ruchu metropolii. Nie musimy rezygnować z możliwości podróży i komunikacji oferowanych przez komercyjną infrastrukturę, tylko znać ich ograniczenia – być po prostu wystarczająco ostrożne i dobrze zgrywać niewiniątka. Odwiedzanie się nawzajem jest znacznie bezpieczniejsze, nie pozostawia śladów i tworzy o wiele trwalsze relacje niż jakkolwiek lista internetowych kontaktów. Przywilej, który wielu z nas posiada – możliwość praktycznie bezproblemowego „swobodnego przemieszczania się” po całym kontynencie i reszcie świata – jest znaczącym atutem w podtrzymywaniu komunikacji pomiędzy ogniskami konspiracji. Jednym z uroków metropolii jest to, że pozwala ona osobom i z Ameryk, i z Grecji, i z Meksyku, i z Niemiec wkraść się do Paryża, żeby omówić strategię.

Stały ruch pomiędzy zaprzyjaźnionymi komunami jest jedną z rzeczy, która zapobiega ich uschnięciu, jak i nieuchronnemu w innym wypadku zrezygowaniu. Zapraszanie towarzyszek, bycie na bieżąco z tym, co robią, rozważania nad ich doświadczeniami i zbieranie udoskonalonych przez nich patentów jest dla

komuny lepsze niż sterylna introspekcja za zamkniętymi drzwiami. Niedocenianie potencjalnie decydującej roli wieczorów spędzonych na konfrontowaniu naszych spojrzeń na trwającą wojnę byłoby poważnym błędem.

Powalać przeszkody, jedną po drugiej

Jak wszyscy wiemy, ulice przepełnione są wszelkiego rodzaju nieobyčajnościami⁹⁴. Pomiedzy tym, czym są, a tym, czym powinny być, stoi siła dośrodkowa całej policji dążącej do zaprowadzenia porządku – a po drugiej stronie jesteśmy my, to znaczy siła przeciwna, odśrodkowa. Nie pozostaje nam nic innego, jak cieszyć się z każdego wybuchu wściekłości i chaosu. Nic dziwnego, że wszystkie te święta narodowe – które już przecież niczego nie celebrują – tak często źle się kończą. Umeblowanie miejskie (gdzie ono się w ogóle zaczyna? gdzie się kończy?) – wszystko jedno, czy rozjebane, czy błyszczące – ucieleśnia nasze wspólne wywłaszczenie. Będąc już niczym, prosi się jedynie o to, by unicestwić je na dobre. Gdy spojrzysz na to, co nas otacza – na to wszystko, dla czego wybije kiedyś ostatnia godzina – metropolia nagle zaczyna wzbudzać nostalgię, jaką wzbudzają tylko pola ruin.

Jeśli te wszystkie nieobyčajności staną się metodyczne i systematyczne, to złączą się w rozproszoną, skuteczną wojnę partyzancką, która przywróci nam

naszą nierządność i nasze pierwotne niezdyscyplinowanie. Niektórych niepokoi, że to niezdyscyplinowanie jest w przypadku partyzantów uznawane za militarną cnotę, ale tak naprawdę nigdy nie powinniśmy być rozdzielać gniewu i polityki. Bez pierwszego, drugie gubi się w paplaninie; bez drugiego, pierwsze wyczerpuje się we wrzaskach. Słowa takie jak „wściekli”⁹⁵ czy „narwani”⁹⁶ nigdy nie pojawiają się w polityce bez strzałów ostrzegawczych.

Jeśli chodzi o metody, pamiętajmy o następującej regule z sabotażu: minimum ryzyka, minimum czasu i maksimum zniszczeń. A jeśli mowa o strategii, pamiętajmy, że przeszkoda powalona, ale niezalana [przez tłum] – przestrzeń uwolniona, ale niezamieszкана – z łatwością będzie zastąpiona przez kolejną, która stawi większy opór i będzie trudniejsza do zaatakowania.

Nad trzema rodzajami pracowniczego sabotażu – spowalnianiem pracy (od „spiesz się powoli” do gorliwego strajkowania), niszczeniem maszyneryi lub jej zatrzymywaniem i ujawnianiem firmowych tajemnic – też nie trzeba się rozwodzić. Ważne, że gdy poszerzone na skalę całej maszyny społecznej, te zasady sabotażu zostają uogólnione od produkcji do obiegu [dóbr]. Techniczna infrastruktura metropolii jest wrażliwa: jej przepływy to nie tylko transport ludzi i towarów – to także informacje i energia krążące w sieciach przewodów, światłowodów i rur, które można zaatakować. Żeby sabotowanie maszyny społecznej dawało obecnie

jakiegokolwiek wymierne efekty, należałoby przejąć i unowocześnić sposoby zakłócania jej sieci. Jak sprawić, aby linie TGV lub sieć energetyczna stały się bezużyteczne? Jak znaleźć słabe punkty w sieci informatycznej, jak zakłócać fale radiowe i kompletnie zaśnieżyć ekrany?

W ogóle, gdy mówi się o poważnych przeszkodach, to błędem jest uważanie dokonania w nich zniszczeń za niemożliwe. Jest w tym [dokonaniu zniszczeń] coś prometejskiego – sprowadza się do pewnego „przywłaszczenia sobie ognia” z wyłączeniem wszelkiego ślepego woluntaryzmu. W 356 roku p.n.e. Herostrates spalił Artemizjon, jeden z siedmiu cudów świata, a w naszych czasach zupełnej dekadencji, imponujące w świątyniach jest już tylko jedno: gorzka prawda, że *już są ruinami*⁹⁷.

Unicestwianie całej tej nicości nie ma jednak nic wspólnego z przykrym obowiązkiem. Wręcz przeciwnie – dzięki temu działanie przeżywa drugą młodość. Wszystko nabiera sensu, wszystko nagle jest na swoim miejscu: przestrzeń, czas, przyjaźń. Wykorzystuje się wszystko, co pod ręką, odzyskuje się sam użytek⁹⁸ – i samemu staje się bronią, którą udało się z tego zмайstrować. W nędzy naszych czasów uznanie, że „jebać to wszystko” – i trzeba przyznać, że nie bez powodu – może być ostatnią kolektywną pokusą.

Uciec z widoku

Przekształcić anonimowość w pozycję ofensywną

Podczas demonstracji związkowiec zdiera maskę anonimowej osobie, która właśnie zbiła okno: „Weź odpowiedzialność za to, co robisz, zamiast się chować.” Być widocznym [*visible*] to być wystawionym, czyli przede wszystkim bezbronnym. Gdy lewicowcy wszędzie bez przerwy „nagłaśniają” [*visibiliser*] swoją sprawę – czy to chodzi o bezdomnych, kobiety czy nieudokumentowanych – w nadziei, że ktoś się nią zajmie, robią dokładne przeciwieństwo tego, co powinni. Zamiast wystawiać się na widok, należy obrócić anonimowość – do której zostaliśmy relegowane – na naszą korzyść i dzięki konspiracji i nocnym lub zakapturzonym akcjom uczynić z niej nieatakowalną pozycję ataku. Za wzór może posłużyć pożoga listopada 2005 roku: bez przywódcy, bez żądań, bez organizacji, ale za to ze słowami, gestami i partnerstwem [*complicité*]. Bycie społecznym zerem nie jest czymś upokarzającym, źródłem tragicznej nierozpoznawalności – być rozpoznawanym: ale przez kogo? – a przeciwnie, jest stanem maksymalnej wolności działania. Niepodpisywanie się pod swoimi wyskokami, za to przypisywanie ich jedynie jakiemuś fantomowemu akronimowi – nadal mamy w pamięci efemeryczne B.A.F.T.⁹⁹ – to sposób na zachowanie tej wolności. To, że jednym z pierwszych manewrów defensywnych reżimu będzie skonstruowanie

podmiotu „przedmieść”, któremu można przypisać sprawstwo „zamieszek listopada 2005 roku”, było więc do przewidzenia. Wystarczy zobaczyć twarze tych, którzy są w tym społeczeństwie *kimś*, by zrozumieć radość z bycia nikim.

Z widoku należy uciekać – ale siła, która zbiera się w cieniu, nie może wiecznie pozostać niezauważona. Chodzi o opóźnienie momentu, w którym pojawimy się jako siła, aż nadarzy się dobra okazja – bo im później wyjdziemy na światło dzienne, tym silniejszymi nas ono zastanie. Od momentu gdy staniemy się widoczni, nasz czas będzie ograniczony. Albo my będziemy w stanie bezzwłocznie zniszczyć panowanie widoczności, albo ono nas błyskawicznie zmiażdży.

Zorganizować samoobronę

Żyjemy pod okupacją – pod *policijną* okupacją. Codziennie przypominają nam o tym łapanie nieudokumentowanych, nieoznakowane samochody przemierzające bulwary wte i wewte, pacyfikacja dzielnic metropolii za pomocą technik ukutych w koloniach czy godne wojny algierskiej¹⁰⁰ wypowiedzi ministra spraw wewnętrznych wymierzone w „gangi” [*bande*]. Zdecydowanie mamy wystarczająco powodów, aby nie dać się już dłużej miażdżyć i podjąć samoobronę.

W miarę jak komuna rośnie i się rozrasta, coraz więcej operacji władzy wycelowanych jest w to, co ją stanowi. Te kontrataki przybierają formę kuszenia, potem rekuperacji, a w ostateczności brutalnej siły. Dla komuny, samoobrona musi być kolektywną oczywistością, tak samo praktycznie jak teoretycznie. Unikanie aresztowań, szybkie i masowe mobilizacje przeciwko próbom eksmisji i ukrywanie swoich nie będą w najbliższej przyszłości zbędnymi odruchami. Nie możemy w nieskończoność odbudowywać naszych baz. Przestańmy bez końca potępiać represje: przygotujmy się na nie.

Sprawa nie jest prosta, bo od całej populacji oczekuje się teraz szczególnego wkładu w pracę policji – od donoszenia, do okazjonalnego udziału w strażach obywatelskich – przez co siły policyjne rozpływają się w tłumie. Obecnie uniwersalnym modelem policyjnych interwencji, nawet w sytuacjach zamieszek, jest gliniarz w cywilu. Podczas ostatnich demonstracji przeciwko CPE policja zawdzięczała swoją efektywność tajniakom wtapiającym się w nasze szeregi i czekającym aż coś się wydarzy, żeby ujawnić, kim są. A potem: gaz, pałki policyjne, paralizatory, zatrzymania, a to wszystko w ścisłej koordynacji ze związkowymi służbami porządkowymi. Samo to, że mogą być w tłumie wystarczająco, by wzbudzić podejrzenia wśród demonstrujących – by zaczęły się zastanawiać, kto jest kim – i sparaliżować wszelkie działania. Biorąc pod

uwagę, że demonstracja nie jest od tego, żeby pokazać jak wiele nas jest, ale środkiem działania, musimy wyposażać się w metody demaskowania tajniaków, wypędzenia ich z tłumu i, jeśli to konieczne, odbicia im tych, których próbują zatrzymać.

Policja nie jest niepokonana na ulicach – ma po prostu środki organizowania się, treningu i ciągłego testowania nowych broni. W porównaniu z policyjnym arsenałem nasza broń zawsze będzie niedorobiona, zmajstrowana na kolanie i często zaimprovizowana na poczekaniu. Nie jest po to, by rywalizować z policyjną siłą ognia, ale by trzymać na dystans, przekierować uwagę, wywrzeć nacisk psychologiczny bądź, dzięki zaskoczeniu, zrobić wyłom i zdobyć przewagę. Wszelkie innowacje w zakresie partyzantki miejskiej wdrożone w centrach szkoleniowych francuskiej żandarmerii prawdopodobnie nigdy nie wystarczą, aby odpowiednio szybko zareagować na ruchomą wielość, która może uderzyć w kilka miejsc jednocześnie i która przede wszystkim stara się zawsze utrzymać inicjatywę.

Komuny są w oczywisty sposób wrażliwe na inwigilację i policyjne dochodzenia, na techniki śledcze i gromadzenie informacji. Fale aresztowań osób anarchistycznych we Włoszech i eko-wojowników w USA stały się możliwe dzięki podsłuchom. Każde aresztowanie to teraz nowa próbka DNA dołączana do stale powiększającej się kartoteki – pewien barceloński

skłoters został złapany, bo zostawił odciski palców na roznoszonych ulotkach. Metody śledzenia stają się coraz bardziej wyrafinowane, szczególnie dzięki technologii biometrycznej, a jeśli w życie wejdą elektroniczne dowody tożsamości, nasze zadanie stanie się jeszcze trudniejsze. Komuna Paryska częściowo rozwiązała problem gromadzenia kartotek: podpalając ratusz, zniszczyła wszystkie archiwa urzędu stanu cywilnego. Teraz pozostaje nam tylko znaleźć sposób, aby raz na zawsze zniszczyć komputerowe bazy danych.

INSUREKCJA

Komuna jest podstawową jednostką partyzanckiej rzeczywistości. Zryw insurekcyjny jest być może niczym więcej niż namnażaniem się komun, ich sprzęganiem i artikulacją. W zależności od rozwoju wydarzeń komuny łączą się w większe byty lub się rozdzielają. Różnica pomiędzy załogą braci i sióstr złączonych „na śmierć i życie”, a radą wielu grup, komitetów i załóg zwołaną w celu zorganizowania zaopatrzenia i samoobrony dla zbuntowanej dzielnicy, czy nawet całego regionu, jest co najwyżej różnicą skali; obie są takimi samymi komunami.

Dla każdej komuny, jedynym kierunkiem jest samowystarczalność i doświadczanie pieniędzy jako czegoś śmiechu wartego i, szczerze mówiąc, nie na miejscu. W końcu siła pieniądza leży w tworzeniu powiązań pomiędzy niepowiązanymi, wiązaniu nieznanym *jako obcych sobie* i tym samym, poprzez zrównanie ze sobą wszystkiego, wprawianiu wszystkiego w obieg. Ceną tej zdolności do łączenia wszystkiego jest jednak powierzchowność więzi. Kłamstwo to w nich reguła – brak zaufania jest podstawą stosunków kredytowych. Prymat pieniądza musi więc być zawsze prymatem kontroli, a praktyczne zniesienie pieniądza

nie może nastąpić inaczej jak tylko poprzez ekspansję komun. W przypadku ekspansji każdej z komun należy się jednak troszczyć o to, by nie przekroczyła pewnego rozmiaru, powyżej którego traci kontakt z samą sobą i co prawie nieuchronnie prowadzi do powstania dominującej kasty. Gdy tego dopilnujemy, postawiona przed taką sytuacją komuna pójdzie w kierunku podziału, by móc kontynuować swoją ekspansję i jednocześnie uniknąć tego czarnego scenariusza.

Powstanie algierskiej młodzieży, które wiosną 2001 roku rozpałiło Kabylię, zdołało przejąć niemal całe terytorium, atakując żandarmerię, sądy i każdą inną reprezentację państwa, generalizując zamieszki aż do jednostronnego wycofania się sił porządku, aż do fizycznego uniemożliwienia przeprowadzenia wyborów. Siła tamtego ruchu tkwiła w rozproszonej komplementarności jego wielu części składowych, które przedtem prawie wcale nie były reprezentowane w niekończących się i beznadziejnie męskich zgromadzeniach wiejskich i innych ludowych komitetach. „Komuny” tej wciąż tłącej się algierskiej insurekcji, czasem tkwią w tych „zjaranych” młodziakach w czapkach z daszkiem, zrzucających butelki z benzyną na prewencję z dachu budynku w Tizi Wuzu; czasem można je odnaleźć w szyderczym uśmiechu starego bojowca owiniętego w burnus, a czasem w energii kobiet z górskich wiosek, które wbrew wszelkim przeciwnościom podtrzymują tradycyjne uprawy i hodowlę zwierząt,

bez których nigdy nie byłoby tak wielu systematycznych gospodarczych blokad regionu.

Wykorzystać na maksa każdy kryzys

„Należy również dodać, że nie będziemy w stanie zająć się całą francuską populacją. Trzeba więc będzie wybierać.” – tak znany wirusolog podsumowuje, co stałoby się w przypadku wybuchu pandemii ptasiej grypy w artykule z *Le Monde* z 7 września 2005 roku. „Zagrożenia terrorystyczne”, „klęski żywiołowe”, „alerty epidemiologiczne”, „ruchy społeczne” i „przemoc uliczna” – wszystkie te momenty niestabilności – są dla ludzi zarządzających społeczeństwem dobrymi okazjami, żeby umocnić swoją władzę przez dobranie sobie tego, co im dogadza i zniszczenie tego, co ich krępuje. Logiczne jest więc, że dla innych sił jest to odpowiedni moment, żeby się zebrać lub umocnić przez obranie przeciwnej strony. Zakłócenia przepływu towarów, zawieszenie normalności (wystarczy zobaczyć jakie życie społeczne wraca w kamienicy nagle pozbawionej prądu, by wyobrazić sobie, czym mogłoby stać się życie w mieście pozbawionym wszystkiego) i policyjnej kontroli wyzwalają potencjał samoorganizacji niewyobrażalny w innych okolicznościach. Nikomu to nie umyka. Rewolucyjny ruch robotniczy dobrze to rozumiał i w czasach kryzysu burżuazyjnej ekonomii

zdobywał szczyty swojej mocy. Islamskie ugrupowania nie są obecnie w stanie osiągnąć takiej siły jak wtedy, gdy zdołały inteligentnie skompensować słabość państwa – gdy zapewniły pomoc po trzęsieniu ziemi w Bumardas w Algierii czy gdy oferowały codzienne wsparcie ludności południowego Libanu po tym, jak spustoszyła go armia izraelska.

Jak wspomnieliśmy wcześniej: wszystkim tym, którzy w północnoamerykańskim ruchu anarchistycznym byli na marginesie, dewastacja Nowego Orleanu przez huragan Katrina stworzyła okazję do osiągnięcia niespotykanej spójności – dzięki zjednoczeniu wszystkich tych, którzy pozostali na miejscu i oparli się przymusowej relokacji. Kuchnie uliczne wymagają wcześniejszego przemyślenia sposobów zaopatrzenia; medyczna pomoc ratunkowa wymaga nabycia niezbędnej wiedzy i materiałów, tak samo jak instalacja niezależnych radiostacji. Polityczną owocność takich doświadczeń gwarantuje niesiona przez nie radość; to, że wykracza się w nich poza jednostkową zaradność i że ich namacalna rzeczywistość opiera się codziennej banalności pracy i porządku.

W kraju takim jak Francja, gdzie radioaktywne chmury zatrzymują się na granicy¹⁰¹ i gdzie budowanie ośrodka onkologicznego na terenie dawnej fabryki AZF¹⁰² podpadającym pod Seveso¹⁰³ wydaje się dobrym pomysłem, należy liczyć nie tyle na kryzysy „naturalne”, co na kryzysy społeczne. Rolą ruchów

społecznych jest zakłócanie nowej normalności: katastrofy. Jasne, rozmaite strajki mogły być w ostatnich latach przede wszystkim okazjami dla rządu i zarządów spółek do przetestowania swoich zdolności utrzymania coraz szerszego „minimum usług”¹⁰⁴ – aż wstrzymanie pracy zostało zredukowane do wymiaru czysto symbolicznego i stało się niewiele bardziej szkodliwe niż opady śniegu czy samobójstwo na torach; ale protesty licealistów z 2005 roku i walka przeciwko wprowadzeniu CPE, podważając przyjęte praktyki aktywistów swoimi systematycznymi okupacjami instytucji i zawziętymi blokadami, przypomniały nam o zdolności dużych ruchów do bycia problemem i przeprowadzania rozproszonej ofensywy. Te wszystkie załogi, które się na ich gruncie zawiązały, umożliwiły nam wgląd w warunki, w jakich ruchy mogą stać się miejscem wyłaniania się nowych komun.

Sabotować każde ciało przedstawicielskie
Rozgadać się
Obalać zgromadzenia ogólne

Pierwszą przeszkodą, jaką napotyka każdy ruch społeczny, na długo przed konfrontacją z policją jako taką, są siły związkowe i cała ta NGO-sowa mikro-biurokracja mająca na celu wytyczanie ram walkom. Komuny, oddolne grupy i załogi spontanicznie się im

przeciwstawiają – dlatego tamci parabiurokraci przez ostatnie dwadzieścia lat wymyślali *koordynacje*¹⁰⁵, które ze względu na brak etykietek politycznych wydają się bardziej niewinne, a jednak pozostają idealnym polem dla ich gier. Ilekroć jakiś kolektyw zejdzie na złą drogę i spróbuje stać się autonomiczny, ci parabiurokraci nie ustaną w pozbawianiu jego starań jakiegokolwiek znaczenia, przez uporczywe lekceważenie wszystkich zasadnie podniesionych kwestii. Są zawzięci i ogarnia ich zapał, ale nie z pasji do debaty, a z powołania do jej tłumienia. Kiedy już uda im się obronić swoją apatię, a ich nieugiętość w końcu pokona ten kolektyw, tłumaczą jego upadek brakiem politycznej świadomości. Trzeba w ogóle powiedzieć, że we Francji – w dużej mierze przez szaleńczą aktywność rozmaitych trockistowskich klik – młodzi aktywiści są całkiem niezli w sztukę politycznej manipulacji. Oni akurat z pożogi 2005 roku nie wyciągnęli tej prostej lekcji: że wszelkie koordynowanie jest zbędne tam, gdzie *już jest* koordynacja, a organizacji jest zbyt wiele tam, gdzie ludzie sami się organizują.

Inną odruchową reakcją na najmniejszy ruch jest zwołanie zgromadzenia ogólnego i przeprowadzenie głosowania. To błąd. Sam proces głosowania i walka o postawienie na swoim są grą o wystarczająco wysoką stawkę, by zamienić zgromadzenie w koszmar, w teatr konfrontacji pomiędzy wszystkimi pretensjami do władzy. Cierpi się wtedy na ciężki przypadek

burżuazyjnego parlamentu. Nagromadzony tłum nie jest miejscem na decyzje, a na *gadanie*¹⁰⁶, na wolność słowa praktykowaną bez celu.

Potrzeba gromadzenia się jest u ludzi tak stała, jak rzadka jest potrzeba podejmowania decyzji. Gromadzenie się idzie w parze z radością z odczuwania wspólnej siły. Podejmowanie decyzji jest niezbędne tylko w sytuacjach kryzysowych, kiedy funkcjonowanie demokracji tak czy inaczej jest zagrożone. W innych przypadkach „demokratyczny charakter procesów decyzyjnych” istotny jest co najwyżej dla fanatyków procedury. Nie ma jednak sensu krytykować zgromadzeń czy z nich dezertować – należy raczej uwolnić obecną w nich mowę, gesty i grę¹⁰⁷ pomiędzy bytami. Wystarczy zauważyć, że każda osoba przychodzi na zgromadzenie z pragnieniami, więziami, zdolnościami, silnymi stronami, smutkami i danym nastrojeniem, a nie tylko z jakimś punktem widzenia czy głosem. Jeśli zdołamy porzucić mrzonkę Zgromadzenia Ogólnego na rzecz *bycia zgromadzonymi*, jeśli zdołamy udaremnić wiecznie nawracającą pokusę hegemonii i jeśli przestaniemy traktować podjęte decyzje jak ostateczność, wtedy mamy jakieś szanse na jeden z tych fenomenów kolektywnej krystalizacji, kiedy decyzja po prostu *sia-da* – kiedy to decyzja podejmuje byty, całkowicie lub choćby częściowo.

To samo tyczy się decydowania o akcjach. Wyjście z zasady, że „akcja wymaga przeprowadzenia

zgromadzenia” nie pozwala ani na to, by zawrzała debata, ani na skuteczne działanie. Liczne zgromadzenie pełne obcych sobie ludzi jest skazane na powołanie specjalistów od działania, a to oznacza przekazanie akcji pod ich kontrolę. Z jednej strony osoby z mandatem są z definicji ograniczone w swoich działaniach, a z drugiej strony nic ich nie powstrzymuje przed wyrolowaniem wszystkich innych.

Nie ma sensu nadawać działaniu jednej idealnej formy. Ważne jest to, żeby działanie ostatecznie przybierało pewną formę, wzbudzało ją, ale nie żeby jej się poddawało. Zakłada to współdzielenie pozycji politycznej i geograficznej – jak to było w przypadku dwudziestu ośmiu sekcji Komuny Paryża podczas Rewolucji Francuskiej¹⁰⁸ – jak i współdzielenie obiegu wiedzy. Jeśli chodzi o podejmowanie decyzji o akcjach, można by przyjąć taką zasadę: niech każdy zrobi swój własny rekonesans, później zestawmy ze sobą informacje, a decyzja raczej podejmie nas, niż zostanie przez nas podjęta. Obieg wiedzy likwiduje hierarchię, równa wszystkich do tego samego poziomu. Propagowana komunikacja horyzontalna jest też najlepszą formą koordynacji różnych komun – najlepszym sposobem na położenie kresu hegemonii.

Blokować ekonomię, mierząc jednak siłę naszych blokad poziomem naszej samoorganizacji

Pod koniec czerwca 2006 roku w stanie Oaxaca mnożyły się okupacje ratuszów, a powstańcy zajmowali budynki publiczne. W niektórych gminach wypędzano burmistrzów i rekwirovano pojazdy służbowe. Miesiąc później zablokowano dostęp do niektórych hoteli i ośrodków turystycznych. Meksykański minister turystyki mówił o katastrofie „porównywalnej do huraganu Wilma”. Kilka lat wcześniej blokada stała się jedną z głównych form działania argentyńskiego ruchu powstańczego, a poszczególne lokalne grupy przychodziły sobie z pomocą, blokując jedną drogę po drugiej. Wspólnymi działaniami nieustannie groziły, że sparaliżują cały kraj, o ile ich żądania nie zostaną spełnione. Przez lata takie groźby były potężnym środkiem nacisku w rękach kolejarzy, tirowców czy pracowników infrastruktury elektrycznej i gazowej. Ruch przeciwko CPE we Francji nie wahał się blokować stacji kolejowych, obwodnic, fabryk, autostrad, supermarketów, a nawet lotnisk. Wystarczyło trzysta osób w Rennes, żeby zablokować obwodnicę na całe godziny i spowodować czterdziestokilometrowy korek.

Blokowanie wszystkiego jest teraz pierwszym odruchem wszystkich, którzy przeciwstawiają się obecnemu porządkowi. W zdelokalizowanej gospodarce – gdzie firmy funkcjonują na modelu *just-in-time*¹⁰⁹,

gdzie wartość bierze się z bycia częścią sieci, gdzie autostrady są ogniwami zdematerializowanego łańcucha produkcyjnego łączącego jednego podwykonawcę z drugim, a potem z montownią – zablokowanie produkcji wymaga też zablokowania obiegu.

Ale robienie blokady przewyższającej zaopatrzeniowe i komunikacyjne zdolności powstańców oraz faktyczną samoorganizację poszczególnych komun to coś, co nie wchodzi w grę. Jak się wyżywić, kiedy wszystko jest sparaliżowane? Plądrowanie sklepów, jak w Argentynie, ma swoje granice – jak ogromne nie byłyby te świątynie konsumpcji, nie są przecież spiżarniami bez dna. Nabycie zdolności do długofalowego pozyskiwania podstawowych środków do życia oznacza zatem przywłaszczenie sobie środków do ich produkcji. W takim razie nie ma sensu dalej czekać. Pozostawienie dwóm procentom populacji produkowania żywności, jak to ma miejsce obecnie, jest absurdem zarówno historycznym jak i strategicznym.

***Uwolnić terytorium spod policyjnej okupacji
W miarę możliwości unikać bezpośredniej
konfrontacji***

„Ta sprawa pokazuje, że nie mamy do czynienia z młodymi ludźmi, którzy wysuwają społeczne żądania, a z jednostkami, które wypowiedziały wojnę Republice”

– przytomnie zauważył pewien gliniarz w temacie ostatnich zasadzek¹¹⁰. Ofensywa mająca na celu uwolnienie terytorium spod policyjnej okupacji już trwa i może liczyć na niewyczerpane rezerwy nienawiści, które te siły przeciwko niej zgromadziły. Same „ruchy społeczne” są stopniowo uwodzone przez zadymiarstwo nie mniej niż imprezowicze z Rennes, którzy w 2005 roku w każdy czwartkowy wieczór konfrontowali się z prewencją, czy też ci z Barcelony, którzy podczas niedawnego *botellionu*¹¹¹ zdewastowali komercyjną arterię miasta. Z kolei ruch przeciwko CPE był świadkiem regularnego powrotu koktajlu Mołotowa. Jednak w tej kwestii pewne przedmieścia pozostają niedoścignione – w szczególności, jeśli chodzi o metodę, która pojawia się już od dłuższego czasu: zastawianie pułapki. I tak na przykład 13 października 2006 roku około 23:00 w Épinay kilka zespołów policji kryminalnej odpowiedziało na zgłoszenie włamania do przyczepy kempingowej; po dojechaniu na miejsce, jeden z nich „został zablokowany przez dwa pojazdy zaparkowane skośnie w poprzek ulicy i ponad trzydzieści osób trzymających stalowe pręty i pistolety, rzucających w pojazd kamieniami, które przeciwko policjantom użyły gazu łzawiącego.” A jeśli chodzi o coś na mniejszą skalę, to do głowy przychodzą lokalne komisariaty zaatakowane w godzinach zamknięcia: wybite szyby, spalone samochody.

To, że od teraz prawdziwa demonstracja musi być „dzika”, niezgłoszona do prefektury, jest jednym z osiągnięć ostatnich ruchów. Mając możliwość *doboru terenu*, będziemy starać się, tak jak czarny blok w Genui w 2001 roku, omijać czerwone strefy¹¹² i unikać bezpośredniej konfrontacji, wybierać własną trasę i prowadzić gliniarzy – zwłaszcza tych związkowych i tych pacyfistycznych – zamiast dawać się im prowadzić. Wtedy tysiącowi zdeterminowanych osób udało się zmusić do odwrotu całe busy karabinierów, a później je podpalić. Od bycia lepiej uzbrojonym zdecydowanie ważniejsza jest inicjatywa. Odwaga jest niczym, ale wiara we własną odwagę jest wszystkim – a posiadanie inicjatywy w tym pomaga.

Wszystko jednak wskazuje na to, że należy postrzegać bezpośrednie konfrontacje jako punkty związania wrogich sił walką, które mają kupić nam czas i pozwolić na atak gdzieś indziej – nawet tuż za rogiem. To, że konfrontacje są nieuniknione, nie oznacza, że nie można użyć ich jako prostej dywersji. Do wrogiej koordynacji musimy przywiązywać jeszcze większą wagę niż do działań. Nękanie policji sprawia, że będąc wszędzie, nie będzie skuteczna nigdzie.

Każdy taki przypadek nękania na nowo rozpala tę wypowiedzianą w 1842 prawdę: "Życie policjanta jest bolesne; jego pozycja w społeczeństwie jest tak upodlająca i znienawidzona jak sama zbrodnia [...] Wstyd i niesława otaczają go ze wszystkich stron,

społeczeństwo wypędza go ze swego łona, izoluje jak pariasa, spluwa z pogardą na policjanta jak i na jego zarobek, bez wyrzutów sumienia, bez żalu, bez litości [...] policyjna odznaka, którą nosi w kieszeni, jest świadectwem upokorzenia.”

21 listopada 2006 roku strażacy demonstrujący w Paryżu zaatakowali prewencję młotami i ranili piętnastu z nich. Był to sposób na przypomnienie, że „powołanie by pomagać” nigdy nie może być dobrym powodem, aby dołączyć do policji.

Uzbroić się

Zrobić wszystko, by użycie broni było zbędne

W obliczu armii zwycięstwo jest polityczne

Nie ma czegoś takiego jak pokojowa insurekcja. Broń jest niezbędna: chodzi jednak o robienie wszystkiego co się da, żeby jej użycie było zbędne. Insurekcja polega na chwyceniu za broń¹¹³ i utrzymywaniu „zbrojności”, nie na przejściu do walki zbrojnej. W naszym interesie leży rozróżnienie pomiędzy uzbrojeniem a użyciem broni. Broń jest stałą w rewolucjach, jednak w kluczowych punktach zwrotnych jej użycie jest nieczęste albo przynajmniej rzadko rozstrzygające: jak 10 sierpnia 1792 roku¹¹⁴, 18 marca 1871 roku¹¹⁵ czy w październiku 1917 roku¹¹⁶. Gdy władza już leży w ryzach, wystarczy ją rozdeptać.

Przez dystans, jaki do niej mamy, broń nabrała dwojakiego charakteru fascynacji i obrzydzenia, które przewyciężyć można jedynie przez obchodzenie się z nią. Autentyczny pacyfizm nie może polegać na odrzuceniu broni, a jedynie na odmowie jej użycia. Bycie pacyfistą, nie będąc przy tym w stanie oddać strzału, to nic innego jak ideologiczna bezsilność. Taki aprioryczny pacyfizm jest swego rodzaju przewencyjnym rozbrojeniem, czystą operacją policyjną. W rzeczywistości, na poważnie do kwestii pacyfizmu są w stanie podejść tylko te osoby, które są zdolne do otwarcia ognia. I w tym przypadku pacyfizm staje się – przeciwnie – oznaką siły, gdyż tylko z pozycji skrajnej mocy można uwolnić się od potrzeby wystrzału.

Ze strategicznego punktu widzenia, podjazdy i asymetryczne akcje wydają się najbardziej efektywne, najbardziej odpowiednie w naszych czasach: w końcu okupującej armii nie atakuje się frontalnie. Wizji miejskiej wojny partyzanckiej w stylu irackim, która mogłaby łatwo utknąć w martwym punkcie bez możliwości ofensywy, powinniśmy się jednak raczej obawiać, niż jej pożądać. *Militaryzacja* wojny domowej to klęska insurekcji. Czerwoni mogli sobie zwyciężyć w 1921, ale rewolucja rosyjska była już stracona¹¹⁷.

Musimy rozważyć dwa rodzaje państwowej reakcji. Jedną jest szczerą wrogość, druga jest bardziej przebiegłą, demokratyczną. Pierwsza domaga się naszego zniszczenia bez dwóch zdań, druga – czyli

subtelna lecz nieprzejednana wrogość – czeka tylko, żeby nas zwerbować. Można zostać pokonanym tak przez dyktaturę, jak przez bycie zredukowanym do przeciwstawiania się jedynie dyktaturze. Porażką może być przegranie wojny, ale i utrata możliwości wyboru, którą wojnę chce się prowadzić. Jak jednak dowiodła Hiszpania z 1936 roku, te opcje się nie wykluczają: tamtejsi rewolucjoniści zostali pokonani podwójnie, zarówno przez faszyzm, jak i przez republikę¹¹⁸.

Jak tylko sytuacja staje się poważna, na scenę wkracza armia; jej wkroczenie do akcji wydaje się mniej pewne. Państwo musiałoby być zdecydowane na masakrę, co na razie nie jest niczym więcej niż groźbą – trochę jak w przypadku użycia broni nuklearnej przez ostatnie pół wieku. Faktem jest, że chociaż ranna od dawna, państwowa bestia nadal pozostaje niebezpieczna. Faktem jest też, że w obliczu armii nadal potrzeba licznego tłumu, szturmującego jej szeregi i bratającego się z żołnierzami – potrzeba 18 marca 1871 roku. Armia na ulicach to sytuacja insurekcyjna; tłum wkraczający do akcji to wyłaniające się nagle rozwiązanie. Każdy staje wtedy przed decyzją zajęcia strony, wyboru pomiędzy anarchią bądź strachem przed nią. To jako polityczna siła insurekcja może zatriumfować. Politycznie, pokonanie armii staje się możliwe.

Pozbawiać władzy lokalnie

Insurekcja dąży do stania się nieodwracalną. Taką nieodwracalność osiąga się wtedy, gdy razem z władzą przewycięży się potrzebę władzy, razem z własnością – upodobanie do przywłaszczania, a razem z wszelką hegemonią – pragnienie hegemonii. Właśnie dlatego proces insurekcyjny sam w sobie zawiera formę własnego zwycięstwa albo swojej porażki. Samo zniszczenie nigdy nie jest wystarczające, żeby osiągnąć nieodwracalność – wszystko zależy od sposobu. Istnieją sposoby niszczenia, które nieuchronnie prowokują powrót tego, co zostało unicestwione. Ci, którzy zawzięcie skaczą po zwłokach reżimu, mogą być pewni, że wzbudzą tym pragnienie zemsty. A więc wszędzie tam, gdzie gospodarka zostaje zablokowana, a policja zneutralizowana, ważne jest, by obalać władze z najmniejszym możliwym patosem. Należy pozbawić je władzy z nonszalancją i skrupulatnym szyderstwem.

Obecna decentralizacja władzy koresponduje z końcem punktów rewolucyjnej koncentracji. Oczywiście są jeszcze Pałace Zimowe, ale są one skazane raczej na szturmy turystów niż powstańców. Można dziś zdobyć Paryż, Rzym czy Buenos Aires, nie odnosząc jednocześnie decydującego zwycięstwa. Zdobycie Rungis¹¹⁹ miałoby z pewnością większy efekt niż zdobycie Pałacu Elizejskiego. Władza nie jest już skoncentrowana w jednym miejscu na świecie – jest

światem samym w sobie, z jego przepływami i jego alejami, jego ludźmi i jego normami, jego kodami i technologiami. Władza jest samą organizacją metropolii. Jest nieskazitelną totalnością świata towarów we wszystkich jego punktach. Ten więc, kto pokona ją lokalnie, puści przez jej sieć globalną falę uderzeniową. Zadymiarze z Clichy-sous-Bois napełnili niejedno amerykańskie domostwo radością, podczas gdy powstańcynie ze stanu Oaxaca znalazły wspólników w samym sercu Paryża. Dla Francji utrata centralizmu władzy oznacza koniec paryskiego centralizmu rewolucyjnego – i potwierdza to każdy nowy ruch od czasu strajków z 1995 roku¹²⁰. Paryż nie jest już miejscem najbardziej śmiałych i najbardziej konsekwentnych akcji. Jeśli jakoś się jeszcze wyróżnia, to jako zwykły cel ataków, jako teren wyłącznie do grabieży i dewastacji – krótkich i brutalnych najazdów z zewnątrz, wymierzonych w punkt maksymalnego zagęszczenia przepływów metropolitalnych; tych smug wściekłości, które przecinają pustynię fałszywej obfitości i wyparowują. Nadejdzie dzień, gdy stolica – ten paskudny złóg władzy – zostanie doszczętnie zrujnowana. Stanie się to jednak pod koniec procesu, który wszędzie indziej będzie już bardziej zaawansowany niż w niej samej.

Cała władza w ręce komun!

W metrze nie znajdziemy już śladu po barierze niezręczności, która zwykle krępowała pasażerów. Nieznajomi gadają ze sobą, a nie tylko na siebie. Na rogu ulicy naradza się załoga, a na bulwarach poważnie dyskutują większe zbiegowiska. Na jedne ataki odpowiadają kolejne, w mieście za miastem, dzień za dniem. Nowe koszary zostają splądrowane i doszczętnie spalone. Mieszkańcy wyeksmitowanego budynku przestali negocjować z ratuszem: zamieszkali w nim. Menadżer w napadzie jasności umysłu, w środku spotkania, właśnie zatłukł kilku kolegów. Wyciekły pliki z adresami wszystkich policjantów, żandarmów i funkcjonariuszy więziennych, co spowodowało bezprecedensową falę pospiesznych przeprowadzek. Do byłego lokalnego sklepowaru dostarczamy nadwyżkę tego, co produkujemy i bierzemy to, czego trzeba. Spotykamy się tam też, żeby pomówić o ogólnej sytuacji i ustalić, jakich materiałów potrzebuje warsztat mechaniczny. Radio na bieżąco informuje powstańców o odwróceniu wojsk rządowych. Rakietą właśnie rozerwała mury więzienia Clairvaux¹²¹. Nie sposób określić, czy od rozpoczęcia „wystąpień” minął miesiąc, czy lata. A premier, z tymi swoimi apelami o spokój, wygląda na bardzo osamotnionego

Przypisy

Jak by nie spojrzeć...

1. W org. użyte jest tu słowo *cador*, które jest francuskim slangowym określeniem pochodzącym od arabskiego słowa *qaddor* oznaczającego „ważnego”, „silnego” – we Francji w użyciu jest charakterystyczny slang *verlan* polegający, w uproszczeniu, na przestawianiu kolejności sylab w wyrazach (*l'envers* → *verlan*). Od lat 70. i 80. był powszechnie używany na przedmieściach i stał się elementem tożsamości ich mieszkańców, w tym osób imigranckich, które miały spory wpływ na jego rozwój. To pierwszy przykład na językowe zanurzenie tekstu w kontekście imigranckich dzielnic, których będzie później więcej.

2. Org. *tête de gondole*, co w marketingu oznacza półkę umieszczoną przy wejściu do sklepowej alejki, która służy do wyraźniejszego eksponowania konkretnych produktów, co ma w efekcie zwiększać sprzedaż, przy czym samo *tête* oznacza po prostu głowę; za to pierwsze miejsca list wyborczych zwiększają prawdopodobieństwo uzyskania mandatu, a zwykle otrzymują je najbardziej rozpoznawalne postaci.

3. Fr. *chibani* – w wolnym tłumaczeniu „białowłasy”, słowo pochodzące z języka arabskiego, oznaczające

osobę pochodzącą z byłych francuskich kolonii, która wyemigrowała do Francji, gdzie ostatecznie przeszła na emeryturę, żyjąc w niestabilnych, prekaryjnych warunkach; losy starszości są dla osób imigranckich ważnym tematem, będącym częścią ich tożsamości.

4. Belleville – współcześnie uważana za jedną z najmodniejszych dzielnic Paryża, a historycznie oddzielna robotnicza miejscowość, której mieszkańcy odegrali istotną rolę w rewolucji lutowej. Współcześnie jest kolorową i różnorodną dzielnicą imigrancką o zmiennej demografii, w której mieści się m. in. paryskie Chinatown, popularne otwarte targowisko czy liczne artystyczne squaty; jest ona także centrum paryskiego streetartu. Wszystkie te „pozytywne” cechy można jednak odczytywać jako objawy gentryfikacji.

5. Org. *feu de joie* – dosł. „ogień radości”; duże, obrzędowe ogniska rozpalane przy okazji świąt związanych ze zbiorami, płodnością i starożytnymi bóstwami obfitości, takich jak noc świętojańska.

6. *SOS Racisme* – francuskie stowarzyszenie, którego celem jest zwalczanie rasizmu, antysemityzmu i generalnie różnych form dyskryminacji, założone w 1984 roku po „Marszu za równość i przeciwko rasizmowi” (*Marche pour l'égalité et contre le racisme*), przez osoby związane z będącą ówczas u władzy Partią Socjalistyczną z wykluczeniem organizatorów samych

demonstracji. Organizacja odegrała główną rolę w łagodzeniu radykalnych żądań Marszu, który urodził się ze sprzeciwu wobec policyjnej przemocy, krytykowana jest za asymilacjonizm i reformizm.

7. Org. *enfants perdus* – pojęcie militarne czasem tłumaczone jako *forlorn hope*; były to niewielkie grupy żołnierzy wysyłane na misje o wysokim ryzyku śmierci, w tym na przykład wysyłane jako awangarda w celu przełamania linii obrony.

8. Krwawy Tydzień (fr. *Semaine sanglante*) – tydzień od 21 do 28 maja 1871, podczas którego siły Republiki stłumiły Komunę Paryską, zabijając – w zależności od źródła – od 15 do nawet 30 tysięcy osób; podczas Krwawego Tygodnia Komunardzi podpalili kilka z wizytówek Paryża jak Pałac Tuileries, ratusz (fr. *Hôtel de Ville*) czy Pałac Sprawiedliwości.

9. Seine-Saint-Denis – departament przylegający do Paryża, podlega pod niego komuna Clichy-sous-Bois, w której jako pierwszej w 2005 roku wybuchły zamieszki.

10. Fr. *nouvelle chanson, nouvelle scène française* – nie do końca jasno zdefiniowany francuski gatunek muzyczny inspirowany klasycznym *chanson* (np. Edith Piaf, Jaques Brel, Charles Aznavour) charakteryzujący się elementami surrealistycznymi i wykorzystaniem języka francuskiego jako środka artystycznego, który

duży nacisk kładzie na kunszt muzyczny i posługuje się „inteligentnym humorem”.

11. Mafia K'1 Fry – kolektyw muzyczny łączący artystów hip hopowych, raperów i beatboxerów, wywodzący się z południowych przedmieści Paryża; K'1 Fry w *verlan* (patrz: przyp. 1.) oznacza „afrykański” (fr. *africain*), stąd nazwę tłumaczy się czasem na African Mafia.

Krąg pierwszy

12. W org. *Personnalisation de masse*. Pojęcie „personalizacji” z jednej strony odnosi się do stopnia rozwoju produkcji masowej, która jest w stanie zaspokoić bardziej partykularne upodobania przez wyprodukowanie szerszego wachlarza produktów, z których później można wybierać, zamiast oddawać do ręki wszystkich tak samo wyglądający produkt (na myśl przychodzą). Fabrykuje to poczucie wyboru i ekspresji przez konsumpcję. Z drugiej strony przez grę słów, *personnalisation* oznacza również produkcję podmiotowości, których – podobnie jak iPhone’ów w różnych kolorach – produkowanych jest więcej i są one na pierwszy rzut oka bardziej różnorodne, ale w rzeczywistości są przejawem tej samej iluzji tego, że przez „wyrażenie siebie”, „bycie sobą”, jesteśmy w stanie wieść jakiegoś rodzaju autentyczne życie, a nie być jedynie podmiotami

stworzonymi do konsumpcji towarów pasujących do naszego „partykularnego” brandu.

13. Org. *circuler* – w języku francuskim ma trochę mocniejszy wydźwięk, nieco bardziej precyzyjne znaczenie: oznacza krążenie, ale odżywcze, takie jak np. obieg krwi; za Larousse: poruszać się, nieusatysfakcjonowanie się odnawiając [*se déplacer en étant sans cesse renouvelé*].

14. Ritalin – lek przypisywany osobom, u których stwierdzono ADHD, w Polsce dostępny pod nazwami handlowymi Concerta i Medikinet; jego substancją aktywną jest metylofenidat, który jest silnym stymulantem o działaniu podobnym do amfetaminy.

Krąg drugi

15. Jules Ferry (1832-1893) – francuski polityk, ojciec współczesnego, bezpłatnego, obowiązkowego, laickiego szkolnictwa; podczas Oblężenia Paryża i wybuchu Komuny Paryskiej członek Rządu Obrony Narodowej, orędownik ekspansji kolonialnej, twierdził, że „obowiązkiem [ras wyższych] jest cywilizowanie ras niższych”; w dużej mierze odpowiedzialny za przejęcie przez Francję Tunezji, Madagaskaru i Konga Środkowego.

16. Louis Adolphe Thiers (1797-1877) – prezydent Francji od 1871 do 1873; to on wydał rozkaz stłumienia Komuny Paryskiej.

17. *Blousons noirs* (dosł. czarne kurtki) – subkultura lat 50. i 60. XX wieku powstała wokół kultowych filmów amerykańskich jak „Buntownik bez powodu” i rock’n’rola, rozpowszechniona głównie wśród młodzieży z domów robotniczych, biedniejszych przedmieści. Termin szybko stał się synonimem dla „bandziorów”, co podchwyczone przez prasę wywołało panikę moralną.

18. Org. *arrête, tu vas faire pleuvoir* – w wolnym tłumaczeniu „przestań, sprowadzisz deszcz!”; odnosi się to szczególnie do osób, które fałszują. W tym przypadku chodzi o podcinanie skrzydeł, automatyczne dyscyplinowanie, gdy ktoś jakkolwiek wychodzi przed szereg.

19. Jacques Mesrine (1936-1979) – znany francuski przestępca, odpowiedzialny za liczne włamania, napady na banki i morderstwa; wielokrotnie uciekał z więzień, między innymi z kanadyjskiego więzienia o zaostrzonym rygorze, żeby niedługo później podjąć próbę zorganizowania masowej ucieczki. Jego działalność miała być motywowana politycznie i napędzana chęcią zemsty na systemie. Śmierć Mesrine’a była pierwszym przypadkiem, w którym zakwestionowano samoobronę policjantów, ponieważ otworzyli oni ogień bez ostrzeżenia – śledztwo w tej sprawie trwało

jeszcze na początku lat 2000, więc w trakcie powstawania tej książki.

20. Org. *l'autisme à deux*, dosł. „autyzm dla dwojga” – francuski termin *autisme* ma szersze, przenośne – choć bez wątplenia ableistyczne – starsze znaczenie; oznacza „zaprzeczanie rzeczywistości, które prowadzi do izolacji i odmowy komunikacji, a w szczególności słuchania innych” (za: Larousse) czy też „wycofanie, odrzucenie rzeczywistości i komunikacji z innymi” (za: *La langue française*).

21. Rezygnacja rodzicielska (org. *démission parentale*) – najprawdopodobniej chodzi o rzekome zjawisko wycofywania się rodziców z odpowiedzialności, wycofanej postawy, braku zaangażowania w życie dziecka w sferze publicznej albo na poziomie instytucji czy też pobłażliwości, które miałyby być powodem przestępczości młodzieży i pozwalałyby pociągnąć takich rodziców do odpowiedzialności karnej za niedopełnienie obowiązków rodzicielskich. Termin ten pojawił się w debacie publicznej we Francji w 1998 roku, użyty przez ówczesnego ministra spraw wewnętrznych i powrócił w 2006, a także w kontekście zamieszek po śmierci Nahela w 2023, kiedy Macron zasugerował karanie rodzin finansowo już za pierwsze wykroczenia ich dzieci. Na podstawie tego rzekomego związku pomiędzy „niedbałym rodzicielstwem” a przestępczością nieletnich Nikola Sarkozy w 2007 wprowadził „kontrakt

odpowiedzialności rodzicielskiej” jako część ustawy o zapobieganiu przestępczości.

Krąg trzeci

22. École polytechnique, Polytechnique – wojskowa uczelnia techniczna, nadzorowana przez francuskie ministerstwo obrony; uczestnicy najbardziej popularnego programu otrzymują stopień oficerski i mundur wojskowy.

23. École nationale d'administration (ENA) – francuska uczelnia znana z kształcenia elit politycznych kraju, od stycznia 2022 roku zastąpiona przez Institut national du service public. Jej absolwentami było 4 prezydentów Francji, 8 premierów, 7 ministrów oraz wiele znaczących polityków i polityczek z różnych innych państw (np. Monako, Niger, Egipt), a także biznesmeni i CEO znanych korporacji (Renault, Carrefour). Absolwentów ENA określa się potocznie mianem *énarques*

24. Bernard Tapie (1943-2021) – francuski biznesman i polityk, w latach 80. popularna osobowość medialna, właściciel i CEO kilku dużych firm, w tym wydawcy La Provence (gazeta regionalna), klubu piłkarskiego i Adidas; zamieszany w kilka przekrętów finansowych, trzykrotnie skazany – w tym w skandal łapówkarski we francuskiej piłce nożnej (Affaire VA-OM), za który

otrzymał rekordowo wysoki wyrok i trafił na jakiś czas do więzienia. Skończony w polityce i biznesie zajął się sztuką: był aktorem filmowym i teatralnym, pisarzem oraz animatorem programów telewizyjnych; do roku 2023 wyszło na jego temat 5 filmów dokumentalnych.

25. Org. *la militance gauchiste* – autorom chodzi tu o osoby, które same siebie uważają za zaangażowane politycznie, które wysoko cenią sobie swoją własną świadomość polityczną i których sposób uczestnictwa w życiu społecznym polega na odgrywaniu roli „przeciwnika społeczeństwa”.

Krąg czwarty

26. Org. *quartier populaire* – jedno z wielu określeń, mniej lub bardziej eufemistycznych, na francuskie przedmieścia (inne, które już się pojawiły, to „dzielnice relegacji” i „dzielnice wrażliwe”). To konkretne wskazują na różnorodny skład przedmieści przy jednoczesnej małej zamożności ich mieszkańców.

27. Org. *gîtes ruraux* – wiejskie chatki pod wynajem, z własną kuchnią, łazienką itd., często są to zaadaptowane stare chaty robotników rolnych, budynki gospodarcze czy stodoły; typowy dla francuskojęzycznych regionów rodzaj zakwaterowania, często promowany przez lokalne władze.

28. Org. „w domach firmy Maisons Phénix”. Chodzi tu o nieistniejącą już firmę produkującą nisko budżetowe domy, która była symbolem średnio-klasowego życia na przedmieściach i wymarzonego domku jednorodzinnego.

29. Obszar zurbanizowany – obszar, który odznacza się „wyraźnymi przekształceniami zabudowy i zagospodarowania (miejski charakter zabudowy i infrastruktury), towarzyszącymi pozarolniczej działalności gospodarczej lub wynikającymi z przyjęcia miejskiego stylu (wzorców) życia i pracy.” (za: *Metropolie, obszary metropolitalne, metropolizacja: Problemy i pojęcia podstawowe*, Tadeusz Markowski, Tadeusz Marszał). W skrócie: miasto rozciągnięte na taką przestrzeń, że przestało być możliwe nazywać je miastem.

30. Org. *l'exode rural* – chodzi o zjawisko migracji z terenów wiejskich do miast, prowadzące do wyludniania się wsi.

31. Peryurbanizacja (fr. *périurbanisation*; *peri-urban* oznacza „wokół miejski”) – proces formowania się terenów, które są mieszkanką miejskich i wiejskich charakterystyk; swego rodzaju „rozlewanie się” miasta na swoje okolice.

32. W oryginale: *L'expression « flambant neuf » contracte en elle toute leur destinée* (dosł. „określenie „flambant neuf” mówi wszystko o ich przeznaczeniu”).

Flambant neuf w dosłownym przekładzie oznacza „płonąco nowy”, odpowiednik polskiego „prosto spod igły”.

33. Dzielnica Łacińska (fr. *Quartier latin*) – uniwersytecka dzielnica Paryża znana z bogatego życia towarzyskiego; jako dzielnica studencka, w 1968 była zarzewiem walk.

34. Org. *La rumeur ne se met pas sur écoute* – dosł. „Na plotkę nie da się założyć podsłuchu”, ale wyraz *rumeur* może oznaczać również rumor czy zgiełk; nie do końca możliwa do przetłumaczenia gra słowna.

35. Ang. *low-intensity conflict* – konflikt polityczno-militarny między rywalizującymi państwami lub grupami, którego nasilenie nie jest tak duże jak w przypadku wojny konwencjonalnej, ale jest większe niż podczas rutynowej, pokojowej rywalizacji; przykładem może być konflikt w Irlandii Północnej (The Troubles).

36. Bitwa o Basrę – część II wojny w Zatoce Perskiej z 2003 roku przeprowadzonej przez koalicyjne siły USA, Wielkiej Brytanii, Australii i Polski.

37. Bitwa w Mogadiszu – część amerykańskiej operacji „Gothic Serpent” w 1993 w Somalii, w ramach UNOSOM II – interwencji sił ONZ.

38. Bitwa o Nablus – część operacji „Ochronna tarcza” przeprowadzonej przez Siły Obrony Izraela (IDF) w czerwcu 2002 w trakcie Intifady Al-Aksa.

39. Burkina Faso – państwo położone w Afryce zachodniej, które w 1983 doświadczyło swoistej rewolucji, gdy władzę na drodze zamachu stanu zdobył Thomas Sankara i wprowadził szereg prospołecznych, proekologicznych i antyimperialistycznych polityk. Jednak po jedynie 4 latach rządów przeprowadzono udany zamach na jego życie (tajemnicą poliszynela jest to, że stała za nim Francja). Od tamtego czasu Burkinę Faso przez bardzo długi czas nękały te same problemy, które dotyczą wielu afrykańskich państw niszczonech przez neokolonializm, co przyczyniało się do wybuchania podobnych konfliktów społecznych jak te na francuskich przedmieściach.

40. Południowy Bronx – region Nowego Jorku, który od lat 60. coraz bardziej ubożał i niszczał – i, jak wszystkie takie miejsca, objęty jest szeroko zakrojonym nadzorem policyjnym.

41. Kamagasaki – nieoficjalna nazwa biednego regionu Osaki, w którym od 1961 miało miejsce wiele protestów i zamieszek.

42. Chiapas – jeden z 32 stanów Meksyku, który ma długą tradycję opierania się kolonializmowi. Najnowszy rozdział oporu rozpoczął się w latach 90., kiedy w reakcji na liberalne reformy rządu meksykańskiego uformowała się Zapatystowska Armia Wyzwolenia Narodowego (EZLN). Od tamtego czasu

w Chiapas trwa konflikt pomiędzy interesami lokalnej rdzennej ludności a rządem.

43. La Courneuve – jedna z komun Seine-Saint-Denis.

44. Louis Auguste Blanqui (1805-1881) – od najmłodszych lat niestrudzony konspirator, rewolucjonista, autor podręcznika dla aspirujących powstańców (*Instructions pour une prise d'armes*). Jego strategia jest często opisywana jako „pucyzm”, bo miała na celu przejęcie władzy przez zorganizowaną mniejszość. Był wielokrotnie aresztowany i równie wielokrotnie uciekał. W swoich czasach był swego rodzaju twarzą rewolucji. Prawie byłby jednym z dowódców Komuny Paryskiej, ale został uwięziony, nim wybuchła, a francuskie władze nie zgodziły się na wymienie go na zakładników, których wzięli komunardzi.

45. Ang. *cocooning* (od *to cocoon* – owijać się w kokon) – zachowanie czy też styl życia polegający na celebrowaniu zostawania w domu, łączący się z budowaniem własnej bezpiecznej przestrzeni. Termin został stworzony w latach 80. przez Faith Popcorn, prognostkę trendów i konsultantkę marketingową w celu opisanie zachowania konsumentów wyznaczającego kierunek w rozwoju technologii – jak zdalne zakupy, homeoffice, kina domowe i wszystko inne, co sprawia, że nie musimy ruszać się z domu.

46. Org. *défaire* – gra słowna łącząca znaczenia tego wyrazu: „zniszczyć, pozbyć się” ze „zrozumieć, rozsupłać”.

47. Mowa o awarii zasilania z września 2003 roku, która odcięła od prądu cały półwysep Iberyjski na 12 godzin oraz okolice Genewy w Szwajcarii na około 3, a dotknęła nawet 57 milionów osób. Linia przegrzała się, co skutkowało wydłużeniem zwisu przewodów i w efekcie kontaktem przewodów wysokiego napięcia z drzewami, co wywołało zwarcie i automatyczne wyłączenie linii – transfer został przekierowany na inną linię, tym samym dodatkowo ją przeciążając i ostatecznie wywołało to efekt domina.

Krąg piąty

48. Ekonomia nieautystyczna (właśc. *Mouvement des étudiants pour la réforme de l'enseignement de l'économie*) – ruch wykładowców ekonomii i studentów krytykujący ekonomię neoklasyczną jako oderwaną od rzeczywistości i opowiadający się za pluralizmem w nauczaniu o ekonomii.

49. Jurij Andropow – czwarty sekretarz generalny KC KZPR w latach 1982-1984. W tych czasach w ZSRR trwał kryzys ekonomiczny spowodowany spadkiem cen ropy, której ZSRR dużo eksportowało.

50. Konwersja nomenklatury – nomenklatura (z łaciny „mianowanie”) to pojęcie używane do określenia systemu obsadzania stanowisk kierowniczych lub na określenie całości klasy politycznej w ZSRR i krajach bloku wschodniego. W trakcie upadku bloku nomenklatura dokonała swojego uwłaszczenia czyli przejęcia własności państwowej (np. w ustawionych przetargach podczas procesu prywatyzacji) i uczynienia z niej swojej własności prywatnej. Konwersja tutaj może być rozumiana albo jako samo uwłaszczenie albo jako proces nawracania się nomenklatury na kapitalizm w sensie ideowym.

51. SNCM (*Société nationale maritime Corse Méditerranée*) – francuski przewoźnik promowy operujący na Morzu Śródziemnym.

52. Jean-Baptiste Colbert (1619-1683) – francuski polityk, zwolennik absolutyzmu i merkantylista, który pełnił wysokie funkcje państwowe za panowania króla Ludwika XIV; odpowiedzialny za silną centralizację państwa, dbał o to, żeby wszystkie gałęzie przemysłu pozostawały w rękach burżuazji.

53. Napoleon III Bonaparte (1808-1873) – prezydent Francji w latach 1848–1852, cesarz w latach 1852-1870; jako cesarz obniżył taryfy na importowane towary pomimo sprzeciwu rolników i przemysłowców, inwestował w rozwój kolei. Jego decyzje przyspieszyły

rozwój gospodarczy kraju i cieszyły się dużą popularnością, ale spotykał się z dużym oporem ze strony liberalnej, republikańskiej opozycji parlamentarnej, która widziała w nim zagrożenie dla republiki.

54. Charles André Joseph Marie de Gaulle (1890-1970) – francuski polityk i generał, podczas II wojny światowej dowódca Wolnej Francji, a później prezydent; znany z wprowadzenia nowej konstytucji, która dała początek V Republice. Jako przywódca jeszcze okupowanej Francji prowadził politykę gospodarczą nazywaną *dirigisme*, która zakładała silną rolę państwa w gospodarce rynkowej. Podczas swojej prezydentury, popieranej głównie przez prawicę i niektóre partie centrowe, przeprowadził liczne reformy gospodarcze mające ustabilizować sytuację w kraju: m.in. reformę monetarną.

55. Association pour la Taxation des Transactions financières et pour l'Action Citoyenne (ATTAC) – międzynarodowa organizacja, powstała w grudniu 1998 w Paryżu, mająca pierwotnie na celu propagowanie wprowadzenia podatku od transakcji finansowych zaproponowanego przez Jamesa Tobina, by spowolnić i kontrolować spekulacje finansowe.

56. Gospodarka realna dotyczy produkcji, zakupu i przepływu towarów i usług (takich jak ropa naftowa, chleb i praca) w ramach gospodarki. Jest ona

przeciwstawiana gospodarce finansowej, która dotyczy aspektów gospodarki zajmujących się wyłącznie transakcjami pieniężnymi i innymi aktywami finansowymi.

57. Dewzrost (postwzrost, ang. *degrowth*) – koncepcja polityczna, gospodarcza i społeczna, która opowiada się za ograniczeniem produktywizmu i odrzuca dążenie do wzrostu gospodarczego jako celu polityki publicznej. Powstała w latach 70. i opiera się na założeniu, że wzrost PKB nie gwarantuje poprawy warunków życia ludzkości ani zrównoważonego rozwoju.

58. Org. *convivialité* – określenie oznaczające z jednej strony cieszenie się z towarzystwa innych, a z drugiej implikujące pewną społeczną harmonię i wzajemne spełnianie swoich potrzeb. Było wysuwane jako sposób rekonstrukcji relacji społecznych wyzwolonych spod kieratu produktywności przez przyjęcie polityk dewzrostu, co sprawiłoby, że ludzie staliby się znów zorientowani na siebie i wspólnotę, zamiast na produkcję i karierę. Jednocześnie słowo to, w tej interpretacji, ma pewne konotacje burżuazyjne, odnosząc te nowe międzyludzkie stosunki przede wszystkim do sfery publicznej i jako dobrą podstawę stosunków międzyludzkich, wysuwając takt, który sprzyja pielęgnowaniu „dobrych” z tego punktu widzenia relacji. Trudno nie dostrzec w tym kolejnego przejawu pustego metropolitalnego uspołecznienia i zmieszczania, które Komitet niewątpliwie identyfikuje w tych dwornych gierkach.

59. Casseurs de Pub – francuska organizacja non-profit zajmująca się krytyką reklamy i konsumpcjonizmu. Promuje zrównoważony rozwój i organizuje różne wydarzenia podnoszące świadomość, takie jak *Buy Nothing Day* i *Screen-Free Week*. Grupa co roku wydaje magazyn o tej samej nazwie dołączany do miesięcznika *La Décroissance*. Zgodnie ze swoim antyreklamowym nastawieniem, Casseurs de Pub nie zawiera żadnych reklam, zachowując w ten sposób swoją wolność i niezależność.

60. Klub Rzymski (ang. The Club of Rome) – nieformalna organizacja non-profit założona w 1968 zrzeszająca intelektualistów i liderów biznesu, której celem jest krytyczna dyskusja na temat palących kwestii globalnych. Uwagę opinii publicznej zwróciła w 1972 wraz z pierwszym raportem – *The Limits to Growth* – który przedstawił konsekwencje wzrostu gospodarczego.

Krąg szósty

61. Kondominium (condo) – zespół ekskluzywnych mieszkań własnościowych, znajdujących się na jednym osiedlu lub w jednym budynku, wraz ze współdzieloną przez mieszkańców przestrzenią, na której mogą znajdować się garaże, drogi dojazdowe, tereny zielone czy inne udogodnienia.

62. EDF od fr. *Électricité de France* – przedsiębiorstwo zajmujące się dostarczaniem energii, w dużej mierze należące do państwa.

63. Al Gore, właśc. Albert Arnold Gore junior (1948-) – Demokrata, wiceprezydent USA podczas prezydentury Clintona; w 2007 roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za „wysiłki na rzecz budowy i upowszechniania wiedzy na temat zmian klimatu wynikających z działań człowieka i za stworzenie podstaw dla środków, które są niezbędne do walki z takimi zmianami”.

64. Nicolas Hulot (1955-) – francuski dziennikarz, reporter, prezenter telewizyjny i producent, pisarz, działacz na rzecz ochrony środowiska, biznesmen i polityk. Choć w latach 2000-2010 odegrał ogromną rolę w popularyzacji ekologii, był krytykowany za zbytnią ostrożność zwłaszcza w kontrowersyjnych kwestiach, współpracę z korporacjami i estetyzację problemów środowiskowych. Wielu uważało, że mógł zrobić więcej i szybciej, ale zamiast tego wybrał rolę medialnego ambasadora budującego wokół siebie kult jednostki, a nie ruch społeczny. W latach 2017-2018 minister transformacji ekologicznej.

65. Nawiązanie do Nicolasa Hulota, patrz: przyp. 64.

66. Nawiązanie do tsunami wywołanego trzęsieniem ziemi na Oceanie Indyjskim w 2004 r. Indie, Indonezja,

Sri Lanka i Tajlandia ucierpiały najbardziej na skutek tej klęski.

67. Protokół z Kioto – międzynarodowe porozumienie dotyczące przeciwdziałania globalnemu ociepleniu, które weszło w życie w 2005 roku. Zoobowiązywał państwa, które go podpisały, do zredukowania do 2012 roku emisji gazów cieplarnianych, tak aby ich stężenie w atmosferze zmniejszyć do „poziomu, który zapobiegłby niebezpiecznej antropogenicznej ingerencji w system klimatyczny”.

68. Dzielnica Francuska (Vieux Carré) – najstarsza dzielnica Nowego Orleanu, główna atrakcja turystyczna w mieście.

69. Malik Rahim – były członek Czarnych Panter i wieloletni działacz na rzecz mieszkalnictwa i osób osadzonych; współzałożyciel organizacji Common Ground Relief, która powstała w następstwie Huraganu Katrina (2005 r.) i w ramach której zorganizowano Common Ground Health Clinic, która pomagała ofiaram katastrofy.

Krąg siódmy

70. Nawiązanie do „wzmocnionych technik przesłuchań” wprowadzonych za kadencji G.W. Busha. Jest to zestaw tortur opracowanych przez psychologów

Jamesa Mitchella i Johna Bruce'a Jessena dla CIA po atakach z 11.09.2001 r. oraz używanych w celu uzyskania informacji od osób podejrzanych o terroryzm przetrzymywanych w tajnych więzieniach.

71. Ustawa Perben II – ustawa z 2004 r. o dostosowaniu systemu wymiaru sprawiedliwości do zmian w zakresie przestępczości. W jej wyniku rozszerzono znacznie uprawnienia służb – np. zezwolono policji na umieszczanie urządzeń podsłuchowych (kamer lub mikrofonów) w pojazdach i domach bez wiedzy właścicieli i bez konieczności podawania powodu.

72. Nawiązanie do Wielkiego Kryzysu zapoczątkowanego 24 października 1929 roku (tzw. Czarny Czwartek) przez krach na Nowojorskiej Giełdzie; choć nieprawdą jest, że po krachu nastąpiła epidemia samobójstw bankierów rzucających się z okien, to zdecydowanie prawdziwa jest nędza, w której klasy niższe żyły przez kolejne lata.

73. Francuski wyjątek kulturowy (fr. *l'exception culturelle française*) – chodzi o specjalny status, jaki we Francji mają francuskie utwory i produkcje audiowizualne, mający na celu ochronę ich przed regułami wolnego rynku. Opiera się na założeniu, że twórczość kulturalna nie jest towarem rynkowym, a zatem handel nią musi być chroniony przez zasady inne niż tylko te wynikające z prawa rynkowego. Termin „francuski

wyjątek kulturowy” jest czasami używany pejoratywnie – odnosi się wówczas do kultury francuskiej w szerokim znaczeniu i piętnuje pewną francuską dumę czy stawianie się „ponad innymi kulturami”.

74. Baudelaire, Heine i Flaubert – dziewiętnastowieczni pisarze, kolejno przedstawiciele symbolizmu i dekadentyzmu, romantyzmu, naturalizmu. Baudelaire i Flaubert byli Francuzami, a Heine Niemcem, ale większość dorosłego życia spędził we Francji.

75. Chodzi o Dni Czerwcowe (22-26.06.1848) – paryskie powstanie robotnicze wywołane niezadowolaniem z polityki rządu tymczasowego, zacięcie tłumonie przez władze.

76. *Spleen* odnosi się do głębokiej melancholii zrodzonej z bólu życia, wyrażonej przez Charlesa Baudelaire’a w kilku wierszach z jego zbioru *Les Fleurs du mal*. Oznacza stan melancholii, nudy i niezadowolenia z życia, który nie ma określonej przyczyny. Jednocześnie jest to nazwa formy literackiej – konkretnie sposobu pisania wierszem – którą rozwinął Baudelaire. Nie będziemy udawać, że rozumiemy w pełni, co się w tym zdaniu dzieje, ale być może mamy tutaj do czynienia z pewnym żarcikiem, który utożsamia inne typowo francuskie stany emocjonalne z dominującymi we Francji formami literackimi.

77. Alternacja polityczna ma miejsce, gdy zmienia się ugrupowanie u władzy, najczęściej w wyniku wyborów. W praktyce alternacja polega zazwyczaj na odwróceniu większości politycznej w wyborach prezydenckich i/lub parlamentarnych.

78. To krótkie zdanie, ogłoszone przez socjalistycznego premiera Lionela Jospina po ogłoszeniu redukcji zatrudnienia w Michelin w 1999 roku, wywołało polityczne trzęsienie ziemi. To zdanie, oddzielające politykę od ekonomii, stanie się symbolem bezsilności państwa.

79. Org. *La France est bien la lanterne rouge de la zone occidentale* – dosłownie „Francja naprawdę jest czerwoną latarnią strefy zachodniej”; *lanterne rouge* to wyróżnienie dawane kolarzowi, który skończył Tour de France na ostatnim miejscu.

80. Go – strategiczna gra planszowa dla dwóch osób, która powstała ponad 4 tys. lat temu w Chinach i uważana jest za najstarszą grę planszową na świecie. Swego czasu zyskała popularność wśród klasy menedżerskiej jako swego rodzaju „gra wojenna” w biznesie.

81. Zderzenie cywilizacji – teoria politologa Samuela Huntingtona głosząca, że tożsamość kulturowa i religijna ludzi będzie głównym źródłem konfliktów w świecie po zimnej wojnie (kiedy to przyczyną konfliktów były spory ideologiczne).

82. Org. *vrais gens* (dosł. prawdziwi ludzie) – określenie to występuje tutaj w mnogości warstw znaczeniowych i kontekstów. Po pierwsze, jest to zdecydowanie wyborcza interwencja, jako że było ono często używane podczas kampanii – zdaje się, że z populistycznymi zamiarami, przeładowanymi jednak nieszczerością i rzeczywistą pogardą dla ludzi, których można by nazwać po polsku „solą ziemi”. Z drugiej strony Komitet, krytykując wcześniej zachodnią koncepcję prawdy opartą na reprezentowaniu rzeczywistości, zdaje się krytykować to określenie nie na podstawie tego, że jest ono niedokładne czy sfabrykowane (co by implikowało możliwość wiernych reprezentacji), a fakt, że jest reprezentacją w ogóle. I finalnie wskazuje na to, że jest ono uderzeniem w faktyczny segment populacji: tych ludzi, którzy gdzieś mają politykę, zupełnie nie obchodzą ich gierki o władzę, a sami jej zupełnie nie pragną, ani nie wypowiadają się za nikogo, tylko mówią za siebie i żyją własnym życiem. (Klasycznie można by ich nazwać *idiotes*, koszmarem wszystkich, którzy chcieliby uczynić z ludzi idealnych obywateli, zawsze zaangażowanych w życie polityczne.) Komitet tę pozycję afirmuje i nawiązując do „ubóstwa w duchu” mistrza Eckharta, sugeruje, że podejście *vrais gens* wobec reprezentacji politycznej może wskazać nam jedną z potencjalnych dróg ku szerszemu zniwelowaniu związanych z nią pragnień władzy czy hegemonii.

W DROGĘ!

83. Org. LSQ, *Loi sur la sécurité quotidienne* (pl. ustawa o bezpieczeństwie codziennym) – francuska ustawa o „bezpieczeństwie cywilnym” uchwalona dwa miesiące po zamachach na WTC. Jest to „pakiet legislacyjny”, w którym zebrano dokumenty dotyczące różnych środków zwalczania terroryzmu czy nielegalnego handlu (zwłaszcza bronią) oraz m.in. wprowadza karę pozbawienia wolności za odmowę oddania próbki DNA i rozszerza listę przestępstw, za które można zostać zarejestrowanym w policyjnej bazie danych genetycznych (FNAEG). Można powiedzieć, że w naszym kontekście w dużej mierze analogiczna jest „ustawa antyterrorystyczna” z 10 czerwca 2016 roku.

ODNALEŹ SIĘ

84. Org. *tout engage à tout*. Wyraz *engage* może być przetłumaczony jako „wiąże” czy „zobowiązuje”. W przypadku angielskich odpowiedników dobrym tropem jest *entail*, co oznacza niezbędne następstwo czegoś, opisuje ciąg wynikowy. Autorom chodzi tutaj o ujęcie prawdy jako czegoś, przed czym nie można się tak po prostu uchylić, zignorować; o to, że gdy coś staje się dla nas prawdziwe, to nieodwracalnie wpływa na nasze życie. Według nich prawda jest tym, co wpływa

na nas i w pewnym sensie „obliguje” nas do działania w zgodzie z tym wpływem.

85. Georges Guingouin (1913-2005) – nauczyciel, działacz komunistyczny, bojownik francuskiego Ruchu Oporu. W 1940 został zwolniony ze stanowiska nauczyciela przez reżim Vichy podczas czystki lewicowych urzędników państwowych i przez następne lata ukrywał się we wsiach pod Limousin, prowadząc drobne akcje sabotażowe. Początkowo wyśmiewany i lekceważony, ostatecznie został uznany za jednego z największych bojowników ruchu oporu na tym terenie i w czerwcu 1944 r. został komendantem liczących 20 tys. ludzi sił departamentu Haute Vienne. Trzy miesiące później ze swoimi ludźmi bezkrawawo wyzwolił Limoges.

86. Org. *les jaunes*, dosł. żółci – od tzw. żółtego syndykalizmu (fr. *syndicalisme jaune*); obecnie „żółty związek” to określenie na związki, które są zespolone z systemem kapitalistycznym. „Żółtymi” nazywa się również pracowników wynajętych do przerwania strajku lub zwyczajnych łamistrajków. W tym kontekście chodzi nie tylko o osoby, które deeskalują, ugrzeczniają i łapią za ręce bardziej radykalnych towarzyszy, ale, ogólnie rzecz biorąc, zdrajców konfliktu społecznego.

87. Org. *comités de base* – określenie nieformalnych organizacji pracowniczych, które powstawały

przeciwko dużym federacjom związków zawodowych, narzucających swoje decyzje ich członkom. Zdaje się, że pojawiło się ono po raz pierwszy w kontekście strajku w zakładach Citroëna podczas insurekcji maja '68 jako określenie na nieformalne organizacje zrzeszające wszystkich pracowników w danym zakładzie (i tych uwiązkwionych, i nieuzwiązkwionych) w celu podejmowania decyzji, koordynowania strajków i wysuwania żądań. Ważną cechą tych organizacji było to, że jej szeregi zasilali „zwykli” pracownicy, a nie związkowi biurokraci, skąd się bierze zresztą jej nazwa – bo były one bezpośrednim wyrazem aktywności politycznej tego, co związki zwykłe były określać mianem „bazy” społecznej, tutaj wyzwolonej od skostniałej biurokracji związkowej, która często bardziej przeszkadzała niż pomagała w walce. W tym kontekście Komitet upatruje szansy na to, by nie tylko pracownicy, ale wszelkie „społeczne bazy”, manipulowane i uprzedmiotawiane przez różne organizacje, mogły się z tej relacji wyzwolić i zorganizować w imię swoich bezpośrednich potrzeb. Stają się bazą zbuntowaną, która już nie godzi się na bycie instrumentem i podstawą funkcjonowania czegoś, co im obce i w nietzscheańskim sensie „staje się sobą”: autonomicznym podmiotem, którym zawsze była.

88. Właśc. pracowniczo-studenckie komitety akcyjne były grupami osób powstającymi spontanicznie, bez

ustalonej struktury organizacyjnej, członkostwa i przywództwa. Były autonomiczne, anarchiczne, nie realizowały żadnych odgórných planów, a odpowiadały na obecne sytuacje społeczne (np.: dystrybucja jedzenia wśród osób potrzebujących, opatrywanie protestujących, drukowanie bibuły). Początkowo tworzyły je studentki okupujące uniwersytety, ale z czasem, widząc zagrożenie przejścia kontroli nad ruchem przez związki zawodowe, połączyły siły z robotnikami, formując komitety pracowniczo-studenckie, by istniał między nimi stały i twórczy kontakt.

89. Osady Maronów – osoby padające ofiarą systemu kolonialnego uciekały z niewoli już w XVI wieku, zakładając autonomiczne społeczności, czasami również mieszając się z lokalnymi rdzennymi grupami. Były one zwykle bardzo sekretne i pozostawały w stałym konflikcie z rządami kolonialnymi. Takie osady powstawały też na całym południu Stanów Zjednoczonych, głęboko w lasach czy na bagnach.

90. Radio Alice – niezależna włoska rozgłośnia założona w 1970 roku w Bolonii wykorzystująca byłej wojskowy nadajnik; jej osoby założycielskie były związane z włoskim ruchem autonomii i inspirowały się sytuacjonistami i dadaizmem. Franco „Bifo” Berardi, jedna z osób założycielskich, opisał Radio Alice jako „mieszankę klasycznego medium wojskowej informacji

i pewnego rodzaju artystycznego eksperymentu w sabotażu mediów.”

ZORGANIZOWAĆ SIĘ

91. W oryginale: „byli pracownicy Metalurop”. Chodzi prawdopodobnie o Metaleurop Nord, francusko-szwajcarski zakład obróbki metali, którego nagłe zamknięcie w 2003 roku kosztowało 800 osób utratę pracy. Spółka nie zapewniła im też żadnego zabezpieczenia finansowego. Tak potraktowani ludzie faktycznie prędzej będą kraść, niż chronić porządek własności, który zostawił ich na lodzie.

92. W oryginale użyte jest słowo *caillera*, slangowa wersja *rascaille* którym Nicolas Sarkozy – w czasie pisania *Insurekcji...* minister spraw wewnętrznych, a później prezydent Francji – w 2005 określał uczestników zamieszek z Clichy-sous-Bois, jednego z paryskich przedmieści.

93. *Peak oil* (dosł. szczyt wydobycia ropy naftowej) – hipotetyczny punkt w czasie, w którym osiągnięte zostanie maksymalne wydobycie ropy naftowej na świecie; po którym zacznie ono nieodwracalnie spadać; obecnie toczy się aktywna debata na temat tego, kiedy nastąpi i jakie będzie to miało skutki dla ludzkości.

94. Org. *incivilités* – dosłownie oznacza to „nieobyczajność” czy „niegrzeczność”, ale chodzi tutaj o wszelkie zachowania, które wyrażają brak szacunku do pewnych norm społecznych czy do własności. Rzeczy, które niektórzy nazwaliby „niecywilizowanym zachowaniem” – wszystko od tagowania na murach, agresywnego zachowania, rozbijania wiat przystankowych i kopania śmietników, przez bycie głośno w czasie ciszy nocnej, po rzucanie niedopałków papierosów na chodnik. Wywodzi się z łacińskiego *incivilis*, czyli „nie-obywatel”.

95. Org. *enragés* – jest to nawiązanie do Wściekłych lub też „Ultra-radykałów” – jednego z najbardziej radykalnych (jeśli nie najbardziej radykalnego) stronnictw biorących udział w rewolucji francuskiej; czasami określani są mianem protosocjalistów albo protoanarchistów. Grupa stylizująca się na Wściekłych pojawiła się też podczas okupacji uniwersytetu Nanterre podczas insurekcji maja '68.

96. Org. *exaltés* (dosł. egzaltowany) – chodzi o sposób, w jaki francuska burżuazja zawsze widziała rewolucjonistów; podczas Rewolucji Francuskiej podobnie nazywano radykałów: *les Exagérés*, czyli „przesadni”, „wylbrzymiający”.

97. Herostrates był mieszkańcem Efezu o władniętym obsesją zyskania wiecznej sławy. Uznał, że miejsce

w historii może mu zapewnić tylko wielka zbrodnia i w 356 r. p.n.e. podpalił Artemizjon – świątynię Artemidy – jeden z siedmiu cudów świata. Uznawany jest za pierwszego terrorystę w dziejach ludzkości. Nasz świat już nie oferuje nam żadnych cudów, które mogłybyśmy zniszczyć, by zdobyć podobną mu sławę – wszystko jest raczej puste i bezduszne – ale to również sprawia, że ten świat i jego przeszkody nie mają nad nami takiej władzy, jak nad ludźmi w tamtych czasach. Współczesne świątynie, jak raz za razem udowodniały insurekcje, jest o wiele łatwiej spalić.

98. Org. *On y fait flèche de tout bois, on y retrouve l'usage* – niemożliwa do przetłumaczenia gra słowna; *faire feu de tout bois*, dosłownie „wzniecać ogień z każdego drewna”, to idiom oznaczający używanie wszystkiego, co ma się pod ręką, wykorzystywanie wszystkich możliwości. Autorzy zamienili tutaj *feu* (ogień) na *flèche*, czyli strzałę – w znaczeniu: zamieniać każdą okoliczność, każdą okazję w broń. *L'usage*, czyli użytek, stanowi nawiązanie do filozofii Agambena.

99. BAFT od fr. *Brigade Anti-Flic des Tarterêts* – dosł. Brygada Anty-Psiarska z Tarterêts; anonimowa grupa zwalczająca policję na terenie dzielnicy mieszkalnicstwa socjalnego. Przeprowadzała różnorodne akcje od sprejowania na budynkach, przez wysyłanie gróźb, po organizowanie zasadzek, jednak na istnienie

organizacji „nie było namacalnych dowodów” [La «brigade» qui fait peur, w: *Le Parisien*].

100. Instytucja stanu wyjątkowego we Francji ma swój początek w wojnie algierskiej, kiedy to w 1956 r. armii francuskiej nadano bardzo szerokie uprawnienia. Armia zyskała uprawnienia policyjne, zawieszono wolność jednostki i upowszechniono stosowanie wojskowego wymiaru sprawiedliwości.

INSUREKCJA

101. Autorzy żartują tutaj z mającego uspokajać publikę fake-newsa, który puszczany był w telewizji po katastrofie w Czarnobylu: dzięki układom wiatrów radiaktywna chmura miała zatrzymać się na granicy Francji; oczywiście tak się nie stało.

102. Chodzi o katastrofę w fabryce AZF w Tuluzie z 2001 roku, gdzie w wyniku eksplozji około 400 ton azotanu amonu zginęło 31 osób, ponad 2,5 tys. zostało rannych, a wybuch słyszalny był nawet kilkadziesiąt kilometrów od miasta. Sąd uznał, że właściciele fabryki wykazali się „niedbałością” i „poważnymi błędami” – dyrektor fabryki został skazany na 15 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu i 10 tys. euro grzywny. Wbrew żądaniom pracowników, którzy chcieli odbudowy zakładu i powrotu do pracy, zdewastowana fabryka

została zrównana z ziemią, a na jej miejscu stoi obecne centrum badań onkologicznych.

103. Seveso – regulacja unijna dotycząca zakładów przemysłowych, w których wykorzystuje się substancje niebezpieczne w znacznych ilościach; nazwa pochodzi od włoskiej miejscowości, gdzie w wyniku wypadku w zakładach chemicznych do atmosfery uwolniła się rekordowa ilość wysokotoksycznych dioksyn.

104. *Org. service minimum* – przepis zobowiązujący pracowników i przedsiębiorstwa, w szczególności usług publicznych i transportu publicznego, do zapewnienia minimalnego poziomu usług w każdych okolicznościach – a zwłaszcza w czasie strajków i w godzinach szczytu.

105. Koordynacje – organizacje parasolowe, które zrzeszają NGO-sy, kolektywy i inne formalne czy nieformalne grupy, często o bardzo różnym profilu i celach.

106. *Org. la palabre*, pol. palawra – zwyczaj praktykowany przez niektóre rdzenne grupy zamieszkujące tereny będące niegdyś francuskimi terytoriami kolonialnymi. Polega na spotkaniach danej społeczności, często odbywających się w specjalnie do tego wyznaczonych miejscach (np. pod baobabem), podczas których rozwiązywane są konflikty i podtrzymywane są więzi społeczne. Ma na celu znalezienie właściwego sposobu postępowania, który zadowoli całą

społeczność. Słowa, które na tych spotkaniach padają, są „przeżuwane we wspólnych ustach i trawione we wspólnym żołądku”. Często używa się na nich przysłów, zagadek i alegorii, które mają na celu doprowadzenie do pokojowego wyniku ewentualnych sporów. Z kolei w Wybrzeżu Kości Słoniowej, palawra jest potocznie używana jako synonim sporów i dyskusji, także w życiu codziennym. Zdaje się więc, że Komitet pisząc o „upowszechnianiu rozgadania”, przywiązuje dużą wagę do tych codziennych interakcji, które mają miejsce w różnych dzielnicach i ogólnie na ulicach, przywiązując im większą wagę, niż specjalnie zwołanym zgromadzeniom ogólnym. Jedno znaczenie – tradycyjnych, ogólnospołecznościowych spotkań, i drugie – codziennych pogawędek i sporów, mogą stać się tu jednym i ukazać horyzont życia społecznego, które nie zna podziału na miejsce podejmowania decyzji – takiego jak parlament czy nawet cień baobabu – i na resztę przestrzeni społecznej. Takie upowszechnienie palawry, by miała ona miejsce wszędzie, oznaczałaby kompletne rozproszenie władzy, tak, by rozplynęła się ona w codziennym życiu.

107. Gra rozumiana jako aktywność o charakterze fizycznym lub umysłowym, która nie jest narzucona, nie ma na celu żadnego użytecznego celu i w którą angażujemy się dla rozrywki lub przyjemności.

108. Mowa tutaj o powstaniu przeprowadzonym przez sankiulotów należących do dwudziestu ośmiu sekcji Komuny Paryża – jednostek administracyjnych w czasach rewolucji – które doprowadziło do ostatecznego obalenia monarchii we Francji i wprowadzenia ustroju republikańskiego. Choć było wśród nich wiele osób o różnorodnych poglądach i pozycji społecznej, sankiuloci byli w stanie zorganizować powstanie ze względu na współdzielenie pozycji politycznej (byli najradzykalniejszymi spośród innych ugrupowań) oraz geograficznej (byli częścią jednostek administracyjnych Paryża, ówczesnego rewolucyjnego centrum). Osoby autorskie zdają się podejmować starania skonstruowania teorii odpowiadającej pozycjom politycznym i geograficznym współczesnych sankiulotów w czasach, w których nie ma już rewolucyjnych centrów i tak bardzo jednoczących programów politycznych – gdzie tłumy wspólnie zgromadzone na ulicach mogą zapewnić potrzebną spójność.

109. *Just-in-time* – strategia zarządzania zasobami, która dopasowuje zamówienia surowców od dostawców bezpośrednio do harmonogramów produkcji. Firmy stosują ją w celu zwiększenia efektywności i zmniejszenia ilości odpadów poprzez otrzymywanie towarów tylko wtedy, gdy są one potrzebne do procesu produkcji i by zmniejszyć koszty przechowywania materiałów. Metoda ta wymaga od producentów

dokładnego prognozowania popytu i jest podatna na wszelkie zaburzenia płynnego funkcjonowania łańcucha dostaw.

110. Mowa o atakach na policję, które miały miejsce rok po zamieszkach z listopada 2005 roku, również w innych *banlieue*. W związku z nimi policyjne związki zawodowe żądały posiłków, były obawy, że napięcia będą tylko wzrastać aż do wyborów prezydenckich w 2007 roku, a Bruno Beschizza, szef policyjnego związku, powiedział, że: „w tych dzielnicach, gdzie młodzi ludzie twierdzą, że są panami swojego terytorium, istnieje ryzyko przejścia od logiki segregacji do logiki secesji”. [*Les agressions de policiers inquiètent la profession*, w: *l'Obs*].

111. Hiszp. *botellón* – wspólne picie alkoholu w przestrzeniach publicznych, jako tańsza alternatywa do imprezowania w barach. Jego współczesna postać w kontekście hiszpańskim może wywodzić się z ruchu autonomii w latach 80. jako forma protestu przeciwko zbyt wysokim cenom alkoholu. Były proponowane też prawa anty-botellonowe, które częściowo zostały przyjęte przez niektóre regiony Hiszpanii.

112. Czerwone strefy, org. *zones rouges* – określenie używane podczas anty-szczytów, oznaczające te części miasta, w których zbierają się ministrowie,

parlamentarzyści, CEO itd. i które są w pełni zabezpieczone, zmilitaryzowane i zamienione w swoiste fortece.

113. *Prise d'armes* – zgrupowanie uzbrojonych osób w danym miejscu, historycznie mające najczęściej na celu wywarcie nacisku politycznego, albo zmanifestowanie politycznej siły. W tym kontekście chodzi przede wszystkim o zaznaczenie swojej obecności, pewien pokaz siły, który nie musi przyjmować (a być może nawet nie powinien) klasycznej militarnej formy, a być bardziej rozproszony, oddolny, proletariacki. Na myśl przychodzi obecność potężnych tłumów na ulicach i poczucie siły, jakie się z tym wiąże.

114. 10 sierpnia 1792 – dzień, w którym drogą zbrojnego powstania została obalona monarchia we Francji, jeden z przełomowych momentów rewolucji francuskiej. W obliczu pewnej klęski król wydał rozkaz poddania się, jednak najprawdopodobniej nie dotarł on na czas do gwardii: padły strzały i w efekcie sankiuloci ruszyli na pałac, zabijając gwardzistów.

115. Powstanie 18 marca 1871 – powstanie zbrojne w Paryżu, którego wybuch uważa się za początek Komuny Paryskiej. Wielu żołnierzy posłuchało nawoływań robotników do buntu i odmawiało wykonywania rozkazów, rozchodzili się, bratali się z tłumem. Rozstrzelanych zostało dwóch aresztowanych

wcześniej generałów, nie odbył się jednak planowany marsz na Wersal, dokąd wycofał się rząd.

116. Rewolucja październikowa – powstanie przeciwko Rządowi Tymczasowemu w Rosji, który obalono poprzez szturm na Pałac Zimowy. Sam pałac zdobyty został bez większego oporu ze strony stacjonujących tam gwardzistów. Zakończyła ona okres dwuwładzy, trwający od rewolucji lutowej, podczas którego rządy sprawowane były równoległe przez Piotrogrodzką Radę Delegatów Robotniczych i Żołnierskich i Rząd Tymczasowy.

117. Po rewolucji październikowej (1917) w Rosji wybuchła wojna domowa, której walki trwały w niektórych miejscach aż do 1924 roku.

118. Chodzi o rewolucję, która wybuchła w Hiszpanii w lipcu 1936 roku w reakcji na pucz generała Franko i załamanie się dotychczasowej administracji. Ruch robotniczy był tam bardzo żywy, co przejawiało się w kilkuset tysięcy związkach zawodowych pokroju CNT i UGT, Iberyjskiej Federacji Anarchistycznej oraz prowadzeniu wolnych szkół czy licznych gazet anarchistycznych wydawanych w całej Hiszpanii. Samo CNT przygotowywało się na wypadek rewolucji, przyjmując podczas kongresów specjalne rezolucje czy przygotowując komitety obrony mające podjąć i zorganizować walkę jako pierwsze. W momencie upadku republiki

zaczęto oddolnie i spontanicznie kolektywizować miejsca pracy, gromadzić broń i walczyć z faszystami umożliwiając przeciwstawienie się siłom Franko. W trakcie trwania samej wojny domowej czołowi działacze i działaczki CNT zostali włączeni do Generalitatu, rządu katalońskiego, a sam związek zawodowy uległ centralizacji. W imię zjednoczenia przeciwko faszyzmowi państwo, coraz silniej zinfiltrowane przez stalinistów, uzyskiwało coraz więcej ustępstw ograniczających czy wręcz cofających rewolucję społeczną. W końcu zarówno rewolucja została stłumiona, a organizacje wokół której powstała zostały zdelegalizowane, jak i skłócenie republikanie przegrali wojnę z frankistami. Zobacz więcej: Drabiński Maciej, *Sens i znaczenie polityk prefiguracyjnych. Przypadek hiszpańskiego ruchu anarchistycznego*, „Studia Socjologiczno-Polityczne. Seria Nowa”, nr 1(18)/2023; *Komitety Obrony CNT w Barcelonie w latach 1933-1938, Wywiad z Augustínem Guillamón*, dostępne na: pl.anarchistlibraries.net.

119. Rungis – gmina znajdująca się na przedmieściach Paryża. Mieści drugą największą na świecie giełdę towarów rolno-spożywczych.

120. W 1995 r. w całej Francji miały miejsce protesty przeciwko tzw. planowi Juppé’a – reformie systemu pomocy społecznej. Były to największe strajki w kraju od 1968 r.

121. więzienie Clairvaux – więzienie założone w 1808 roku na terenie dawnego opactwa, zamknięte w 2023 roku. Symbolicznie wymienione tutaj dlatego, że siedziało tam wielu znanych rewolucjonistów, łącznie z Blanquim i Kropotkinem.

nieczytelne@riseup.net
nieczytelne.com

Wydanie poprawione
Wydanie pierwotne: 2007
Wydanie tutejsze: 2025

Ⓐ Wszelkie prawa niezastrzeżone